Nr. 17 Warszawa, dnia 12 (24) Kwietnia 1897 r. Rok XVII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: POLITYKA: Turcy w Tessalii. — Tydzień polityczny. — ODCINEK: Powrót, p. Alb. Barbanela — ŻYCIE SPOŁECZNE: Kredyt dla miast prowincyonalnych. — Z Galicyi, p. Cho. — Kronika poznańska, p. et. — FEJLETON: Pamiętnik. — BADANIA NAUKOWE: Kosmos i społeczeństwo, IV, p. L. Krzywickiego. — LITERATURA I SZTUKA: Z Niemiec, p. H. F. — O prawdę: Z powodu energetyki, p. J. J. Boguskiego — W dali. — Doniesienia urzędowe. — Kronika. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

Turcy w Tessalii.

Ochotnicy greccy pociągnęli za sobą wojsko greckie. Przez dziesięć dni ucierały się drobne oddziały, przesmykami górskimi przeciskające się do tureckiej Macedonii. Turcy je odpierali, sami ustępowali przed nimi, wydawali im i odbierali pozycye pograniczne, słabymi blokhauzami bronione, i cały ten ruch, mający znaczenie utarczek przednich straży, małemi siłami z obu stron prowadzony w środku pogranicza północnego, na jednym tylko punkcie, w Valltinon, stwierdził jakąkolwiek dzielność Greków, którzy stanowisko to opanowali, blokhauz w niem spalili i posuwając się dalej, mieli przynajmniej, zabezpieczony odwrót, gdy później zapędziwszy się za daleko, cofać się musieli. Było to położenie najlepsze do niezrobienia wojny: Grecy ją zrobili. D. 16 b. m. regularne już wojsko greckie rozpoczęło ruch naprzód dwoma korpusami, przedzielonymi łańcuchem Pindu, na południo-zachodzie do Epiru, na północo-wschodzie do jeszcze nie odzyskanej, w tureckich rękach będącej, Tessalii.

Pierwszemu z tych korpusów, usiłującemu przełamać linię turecką nad Arachthosem, ze współudziałem pospieszyła flota w zatoce Arta zebrana, uderzając na Prewezę. Punkt ten już w pierwszem natarciu w d. 7—9 był przedmiotem operacyj wojennych greckich, zakończonych niefortunnie zatopieniem jednego ze statków, które wiozły na pokładzie ochotników do działania przeznaczonych. Wojsko greckie na lądzie rozwijało się od Arty w kierunku Janiny; flota grecka na morzu mogła mieć jeden tylko cel: osaczenie i zbombardowanie Prewezy. Od d. 17 b. m. do chwili wysyłania ostatnich wiadomości z Aten, w południe d. 21-go, ani ląd, ani morze nie były widownią działań pomyślnych, niewątpliwie bowiem pochwaliłby się niemi urzędowy telegraf grecki, któremu udało się już nawet uśmiercić siedem tysięcy Turków w jednym z wąwozów pogranicza tessalskiego. Ilo wojska wyprowadziła Grecya przeciw południowemu Epirowi i Albanii na swoją zachodnią widownię wojny?—wskutek ciągłych matactw telegrafu i korespondentów wiedzieć niepodobna. Biorąc na uwagę ogólną jej słabość, przyjąć można co najwyżej 10,000. Na morzu działa kilkanaście statków, ale z nich dwa tylko dla Turków strasznemi być mogą.

Na widowni głównej, wschodniej, w d. 16 i 17 przekroczyli Grecy granicę w kilku punktach, od wpadającej do Peneiosu (Salamvria) rzeki Xeragi aż do wybrzeża morskiego pod Olimpem na północy klasycznej doliny Tempe. Jeżeli takie wkroczenie, włamywanie się w nieprzyjaciela odrazu większą siłą dokonane, większym też siłom nieprzyjacielskim nie zagrozi, zmuszając je do dobrowolnego złamania całej linii strategicznej, nieuchronnym już tego następstwem musi być wyrzeczenie się charakteru strony zaczepiającej i pomyślenie o własnej obronie. Taki wypadek zaszedł obecnie na wschodnim krańcu widowni, gdzie Grecy działali od Laryssy, a Turcy od Elassony. Nie zdoławszy posunąć się za Xeragi, co może było skutkiem złego obmyślenia napadu, ani też na właściwe już stoki Olimpu, co mogło być już skutkiem niedostateczności sił, sztab grecki postanowił utrzymać się w jednej przynajmniej pozycyi pogranicznej, przez położenie swoje bardzo ważnej, i gdy d. 18 b. m. Turcy ruszyli na całej linii ku południowi, wojsko greckie tego dnia, a może jeszcze nazajutrz, broniło uporczywie przesmyku Meluna, biegnącego ku Peneiosowi. Turcy opanowali najpierw dno doliny, potem i górne obrzeżenie przesmyku i zająwszy grecki już Ternavos, zabierali się do natarcia na odległą o dobre 2 mile Laryssę.

Dalej wiadomości nie sięgają. W Konstantynopolu rozeszła się już d. 20 b. m. pogłoska o upadku miasta, w którem była główna kwatera wschodniego korpusu greckiego, wraz z księciem Konstantym jako nominalnym dowódzcą. Wzięcie Laryssy rzeczywiście mogło już nazajutrz być faktem spełnionym. Grecy mają w tej stronie co najwyżej trzydzieści tysięcy wojska, a Turcy napewno siedemdziesiąt; część tej siły tureckiej stoi wprawdzie dalej, na zachodzie, ale i tak jeszcze przewaga jest ogromną, a Greków jakość ich nie wynagradza za ilość. Sama przytem Laryssa, na płaszczyźnie nad Peneiosem, otwarta, nieoszańcowana, nie nadaje się do obrony. Po upadku stolicy Tessalskiej, wycofanie się Greków również i z Trykali i ustąpienie ku Arcie stanie się nieuniknionem. Korpus wschodni, któremu Turcy wydzierają Laryssę, będzie musiał ustąpić do Beocyi, jeśli się Grekom nie uda zaskoczyć szczęśliwie Turków w pochodzie na południe. Samej sobie zostawiona Grecya ujrzałaby napowrót po 68

latach fezy tureckie na Akropolu. Ale od takiego pohańbienia uchroni ją Europa. I sama też Turcya nie rwie się do tryumfów. Z niesłychaną cierpliwością znosiła posła greckiego w Stambule podczas zawieruchy kreteńskiej od wyprawy Vassosa, później podczas wtargnięcia ochotników greckich do Macedonii, i dopiero teraz d. 17 b. m. mając już wypowiedzieć wojnę, posłała mu paszporty. W okólniku do mocarstw Wysoka Porta zobowiązuje się zaniechać wojny, jeśli tylko Grecy ustąpią z widowni wojennych i cicho siedzieć się zobowiążą, a Europa zobowiązanie to poręczy. Grecya, nawet pobita, może mieć nadzieję wygranej, tj. sprostowania granic, wciąż od r. 1881 krzywych i coraz gorzej uwierających ciało greckie. Grecy nie zginą.

Tydzień polityczny. Wybuch wojny turecko-greckiej gabinetów nie przeraził, ale je do szczególnej zniewala czujności; każdy tem więcej jej potrzebuje, im serdeczniejszą ma być wymiana myśli z powodu wypadku niezbędna. Każde mocarstwo, jak było na Krecie, przychodzi i teraz z własnem swojem usposobieniem, przekonaniem, skłonnością do działania lub niedziałania, i to, co się zgodą, „koncertem“ nazywa, jest tylko zebraniem się w jedno miejsce, w jedno towarzystwo, aby wszyscy mogli patrzeć sobie na palce, aby każdy z osobna widział, gdy się na niego zmawiać i nacierać zaczną. Jest to miłość wzajemnego lęku. W sprawie Greków Francya nie posunie się tak daleko, jakby jej nakazywał interes pokoju ogólno-europejskiego, broniony do upadłego. Jeżeliby Turcy posunęli się za Termopile, Francya a za nią i Anglia — zawołają w Stambule: Ani kroku dalej! Kroku też jednego zrobić nie pozwolą. Austrya jest w strachu; aby się pożar nie rozszerzył na północ i nie oparł o Bośnię i Hercegowinę. Niemcy starają się przypodobać Rosyi i zrobią wszystko po jej myśli, ale nic wręcz przeciw Austryi. Nie mając bezpośredniego interesu, gabinet berliński ma tylko pośredni przez trójprzymierze z jednej, przez dobre w dziejach stwierdzone sąsiedztwo z drugiej strony. Rosya, choć nie ma przymierza, pewniejszą być może o cesarza Wilhelma, niż Austrya — skrępowana więzami przyjaźni. „Koncert“ daleko ma wdzięczniejsze pole w Grecyi, niż na Krecie: może wstrzymać rozlew krwi i ocalić pokój, w który ochotnicy macedońscy wnoszą żagwie niebezpieczeństwa. Wyjazd cesarza austryackiego do Petersburga (25 b. m.) jest faktem tak wielkiego znaczenia, że może dać punkt wyjścia dla nowego zupełnie rozwoju wypadków na półwyspie Bałkańskim i w Turcyi wogóle. Przed wyjazdem, d. 21 b. m., uroczyście zjechał do Wiednia ces. Wilhelm dla utrzymania czucia ze sprzymierzeńcem. Powitał go na dworcu kolejowym cesarz austryacki również uroczyście, w otoczeniu arcyksiążąt. Sprzymierzeniec działać ma dla siebie i za siebie, a nie wie nawet, czy cesarz Wilhelm nie wznowił już lub nie wznowi z Rosyą bismarkowskiego węzła, który odsłoniły Europie rozprawy i zwierzenia jesienne w organie ks. Bismarcka i w sejmie niemieckim. Wskazówkę dalszą całej powagi położenia obecnego daje wyjazd ks. Ferdynanda Koburskiego do Niemiec i jego narady z p. Marschallem. Powodem do tej podróży był skon i pogrzeb W. Ks. Meklenburg-Szweryńskiej, ale ważniejsze od niego są dyplomatyczne wywiady, jakie książę w Berlinie prowadzi. I pobyt ks. Hohenlohego, kanclerza Niemiec, w stolicy Francyi przez święta, choć może prywatnemi tylko sprawami wywołany, nie był obcym polityce. Kanclerz rozmawiał długo z p. Hanotaux. Ale wszystko to, co się stało i coby jeszcze stać się mogło w zakresie takiego krzesania skałek dyplomatycznych, blednie wobec podróży cesarza austryackiego. Bledną też i inne wypadki już bieżące wobec dopiero spodziewanych zażegnywanych na półwyspie Bałkańskim. Sułtan z niepokojem na północ wyziera ze swego wspaniałego pałacu. Nie wspaniałą jest jego przyszłość.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KREDYT DLA MIAST PROWINCYONALNYCH.

Śledząc uważnie życie prowincyonalne, spostrzegamy dwa znamienne zjawiska: rozwój stosunków ekonomicznych, podniesienie poziomu kultury i skali wymagań społeczeństwa i zarazem podściellisko tego życia niezmienione; ramki przepisów, postanowień zwyczajów odwiecznych, rozpierane przez rozwój ogólny. Przemysł fabryczny i wszelkie przedsiębiorstwa handlowe rozwijają się, a stosunki komunikacyjne w wielu miejscowościach pozostają niezmienione. Kalisz np., pomimo wieloletnich zabiegów, nie może się zdobyć na kolej żelazną. Mieszkańcy tego miasta i jego okolic mogliby, co prawda, po przekroczeniu granicy pruskiej, dotrzeć do stacyi najbliższej a stamtąd *transito* na gałąź Bydgoską i Wiedeńską. Tutaj jednak formalności stoją na przeszkodzie; więc ciągle, jak przed laty kilkudziesięciu, tłuką się oni karetką, tracą czas, siły i pieniądze. Sosnowice nazwano niegdyś osadą, i oto lat wiele minęło, w miejscowości tej wyrosło olbrzymie ognisko przemysłu, ściągnęła tam z różnych stron kraju ludność robotnicza, liczne rzesze fachowców i przedsiębiorców; wielka produkcya rozgałęziła się na szerokiem terytoryum, a osada nie przestaje być osadą. Tysiące ludzi gnieździ się w ciasnych, niezdrowych norach, zwanych mieszkaniami, których cenę podniesiono do bajecznej wysokości. Ubożsi wędrują codzień daleko po za ognisko swej pracy, bo musieliby nocować na ulicach. Fabryki mnożą się, kopalnie, wgłąb i wszerz pocięte licznemi podziemiami, wprzęgły do roboty tysiące ludzi, którzy nie mają gdzie mieszkać, wypocząć i odetchnąć wygodnie po pracy, bo warunki *osady* krępują rozwój budowli mieszkalnych.

Prawie wszystkie miasta gubernialne i niektóre powiatowe wzrosły znacznie w ostatnich latach, stały się punktami ciążenia ludności wiejskiej, powstały w nich liczne fabryki, warsztaty rzemieślnicze, najrozmaitsze przedsiębiorstwa i instytucye, rozsiadł się handel wszelaki. Wobec tego z rokiem każdym przybywają nieustannie nowe domy, ale w znacznej części przy pomocy lichwy i fuszerki. Dużo posiadaczów nieruchomości miejskich na prowincyi nie może wybrnąć z długów uciążliwych, ruch budowlany, chociaż nie ustaje, lecz jest opieszały, stąd liczba mieszkań nie odpowiada przyrostowi ludności. Domy nowe bywają niebezpieczne dla życia i zdrowia, bo są wytworem spekulacyi i fuszerki, przechodzą ciągle z rąk do rąk, jak moneta fałszywa. Brak odpowiedniej organizacyi kredytowej utrwala i pogorsza taki stan rzeczy.

Miasta prowincyonalne o tę organizacyę kołaczą od lat wielu, a obecnie ponowiły swoje zabiegi, wołają o kredyt długoterminowy na domy. Już dawniej Lu-

---

Alb. Barbanel.

POWRÓT.

Uklęknę przed tobą, Jadwiniu, schylę głowę i uklęknę. Ty wejdziesz do skromnego pokoiku, niewielkiego, czysto i ubogo prawie ubranego; a kiedy tylko spostrzegę twą jasną twarzyczkę, nawet nie spostrzegę — zamajaczy mi twa słodka postać, zegnę jedno kolano, przyklęknę, głowę opuszczę i tak pozostanę. Będę klęczał; muszę przecież uklęknąć przed tobą! Jadwinia ma męża, głowę tracę, Boże! To nic, muszę uklęknąć. Głowę tracę, doprawdy. Śmieszne to niewymownie: przyjechać do takiego zapadłego kąta prowincyonalnego, popełniać głupstwa, szaleństwa, dzieciństwa, dlatego, że przed sześciu laty przyciskało się do piersi dziewczynę — to zabawne! Powiedz temu chłopu, który przechodzi, powiedz, po co przyjechałeś: parsknie ci w nos śmiechem, będzie się zanosił przez cały dzień. Jej usta w uśmiechu wyginały się w dwie drobne fałdki, warga górna zaostrzała się jak dzióbek gołębicy. Już sześć lat mnie wspomnienie pali. Jakie brudne to miasteczka polskie! Na dyabła brukują ulice; wielkie kamienie tylko nogi wykręcają. Sześć lat twarz jej widzę ciągle. Przecież nie wiem nawet, gdzie mieszka. Dom Waligórskiego — gdzie to? Wezmę bryczkę i każę się zawieść. Nie, nie; jestem za bardzo wzburzony: pójdę pieszo. Zapytam tego chłopca, który gapi się na mnie.

— Słuchaj, gdzie dom Waligórskiego?

— A tam, za pocztą.

— Dobryś, ale ja nie wiem, gdzie poczta.

— Bliziuteńko koło apteki.

— A apteka koło czego? Powiedz mi, jak stąd mam pójść.

— A, jak pójść! Prościuteńko tą ulicą; przy samym końcu, niedaleko rynku, jest poczta. Waligórskiego kamienica jest dwupiętrowa, biała: widać ją zaraz.

Alež ona mnie wcale nie pozna, a jeśli nawet pozna, to spojrzeć nie będzie chciała. Przecież do mnie należała całem ciałem. Te same ręce, o, to, dotykały jej. Ta słodka Jadwinia, do której tęsknię, przecież należała do mnie. Jadwinia — do mnie! Zdawało ci się, że to nic rzadkiego, ani cennego nie było to szczęście, które miałeś. Boję się, aż drżę. Doprawdy, nie do uwierzenia: pan Aleksander Zawiański, żołnierz, trzęsie się jak pensyonarka, bo lęka się niełaskawych oczu prowincyonalnej gąski. Uklęknę, Jadwiniu, nawet oczu nie podniosę. Niczego od ciebie nie chcę: nie chcę ci ani życia łamać, ani w drogę wchodzić; chcę tylko uklęknąć przed tobą jak grzesznik. Bo grzechem wielkim, nieprzebaczalnym było porzucić całe szczęście swego życia. Życie jest walką o chleb, więc czyniłem, co mogłem; jest coś poważniejszego, niż wszystkie westchnienia—to praca dla zdobycia stanowiska. Już niedaleko chyba dom Waligórskiego: oddech mi zamiera. Ale któż inny, jeśli nie ona, powiedział mi głosem głębokim: Olesiu? Ona powiedziała to, ona—Jadwinia. Cierpienie mnie dławiło, za gardło ściskało, aż ramiona mi drgały, a wtedy jej głos cichy i przenikliwy, cały we łzach: Olesiu, słuchaj. — Stała na środku pokoju, blada jak chustka i ręce miała opuszczone, a głos jej nizki, piersiowy, stłumiony: Olesiu, słuchaj—ja cię kocham. Trzeba było być głupcem, waryatem, ażeby szukać szczęścia gdzieindziej. Zbliżała twarz do mojej, przechylała w tył i delikatnie całowała usta, brodę, oczy. Trzy-

blin, Kalisz i Kielce żądały, ażeby warszawskie Towarzystwo kredytowe miejskie zechciało objąć je granicami swojej działalności. Władze owej instytucyi nie mogły wtedy jeszcze na to się zgodzić, gdyż nie było odpowiedniego kapitału zasobowego, nadto kurs listów nie wyrobił sobie pewności; mniemano, że takie rozciągnięcie działalności może je zachwiać. Przypuszczano wreszcie, że stowarzyszeni warszawscy nie zechcą poddać swoich nieruchomości pod zbiorową odpowiedzialność za pożyczki, udzielone w miastach prowincyonalnych. Wobec tego odrzucono żądania trzech miast powyższych w r. 1870 i 1871. Znacznie później (r. 1889—90) Częstochowa doznała również takiej odmowy. W ślady Towarzystwa warszawskiego poszło łódzkie: r. 1873 odrzuciło podanie obywateli Zgierza o kredyt.

Doznawszy takich trudności i niepowodzeń, przedstawiciele miast prowincyonalnych zwrócili się bezpośrednio do władz wyższych o utworzenie dla nich instytucyi kredytowej. R. 1876 ówczesny generał-gubernator przedstawił tę rzecz ministrowi skarbu z wnioskiem, aby Towarzystwu kredytowemu *ziemskiemu* dozwolono udzielać pożyczki na domy miejskie. Władza ministeryalna poleciła Dyrekcyi Towarzystwa rozpatrzeć tę sprawę (26 lutego 1876 r.) wespół z komitetem. Otóż po naradach zgodzono się na rozszerzenie w tej mierze zakresu działalności, ale w rozmiarach możliwie najmniejszych. Oświadczono, że Towarzystwo bez naruszenia swoich zobowiązań względem właścicieli listów i bez naruszenia ich praw, może tylko przyszłej instytucyi dla miast udzielić pewnej „ograniczonej pomocy,“ tj. ułożyć ustawę, pokierować zawiązaniem i urządzeniem, udzielić jej firmy swojej, wprowadzić swych członków do zarządu, ofiarować pomieszczenie we własnych biurach i otworzyć kredyt do czasu, aż nowa instytucya będzie mogła iść nadal samodzielnie.

Zapytane przez gubernatorów magistraty 107 miast, prawie jednozgodnie (r 1878) wyraziły życzenie, ażeby nadzór nad udzielaniem pożyczek wzięły na siebie władze Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Delegacya osobna opracowała „Projekt Stowarzyszenia miast Królestwa Polskiego,“ przyjęty przez ogólne zebranie władz instytucyi kredytu ziemskiego. Zaznaczyć musimy szczegół znamienny: zupełne usunięcie od udziału w sprawach przyszłego Towarzystwa jego uczestników. Nie ustanowiono dla nich wcale Zebrania Ogólnego, jako nieznanego w instytucyi opiekuńczej i przeciwnego panującej tam zasadzie. W styczniu r. 1880 przesłano ten projekt do zatwierdzenia ministeryum skarbu, skąd wszakże dotąd nie wrócił. Ministeryum spraw wewnętrznych nie uznało za właściwe rozszerzać zakresu działań Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Za odpowiedniejsze uważało instytucye samoistne dla miast oddzielnych, bez łączenia ich z Towarzystwem kredytowem ziemskiem.

Za tą wskazówką poszły Lublin i Kalisz, pozyskały zatwierdzenie Towarzystwa kredytowego i ustawę prawie jednobrzmiącą z warszawską (Lublin 25 czerwca 1885 r., Kalisz 14 lipca tegoż roku).

W latach 1884 i 1885 Towarzystwo przemysłu i handlu na wniosek p. D. Rosenbluma, następnie zaś delegatów miast Piotrkowa, Suwałk, Łomży, Siedlec i Płocka poruszyło projekt zawiązania Towarzystwa kredytowego, wspólnego dla wszystkich miast mniejszych w Królestwie Polskiem. Na naradach, odbytych 16 września 1885 r., w których wzięli udział, oprócz delegatów miast powyższych, jeszcze i przedstawiciele Kielc, uznano, że żadne z nich nie mogłoby osobno wypuścić znacznej ilości listów, mała zaś liczba oddziałałaby niekorzystnie na ich kurs. Tylko zjednoczenie miast mogłoby temu zaradzić. Delegaci płoccy opracowali odpowiednio ustawę i poruczyli Towarzystwu przemysłu i handlu wyjednanie jej zatwierdzenia. W lipcu 1886 r. obywatele Płocka prosili o zatwierdzenie ustawy dla siebie i uzyskali je. Piotrków dopiero w styczniu r. z. wyjednał zatwierdzenie takiej ustawy.

Dziś więc w Królestwie Polskiem pięć miast (Warszawa, Łódź, Lublin, Kalisz i Płock) posiada Towarzystwa kredytowe miejskie, na wzajemności oparte. Podane powyżej krótkie dzieje zabiegów*) świadczą o wielkiej i pilnej potrzebie kredytu zorganizowanego.

Zabiegi te rozpoczęto przed 27-miu laty, kiedy potrzeby były mniej gwałtowne. Dziś dają się one odczuwać mieszkańcom prowincyi w całej swej sile, więc znowu przedsięwzięto starania zbiorowe o kredyt, od którego w znacznej mierze zależy rozwój ekonomiczny prowincyi. Tym razem zabiegi pochodzą przeważnie od obywateli miast mniejszych: Kutna, Łowicza, Włocławka, Skierniewic, Pułtuska i Płońska. Uskarżają się oni na lichwę i przypisują upadek miast pomniejszych tudzież utrudniony ich rozwój przedewszystkiem brakowi taniego na termin długi kredytu, spłacanego ratami amortyzacyjnemi. Towarzystwo kredytowe m. Warszawy otrzymało od nich podania, jakie dawniej otrzymywało od innych miast: o udzielenie praw kredytu na równi z obywatelami Warszawy. Zbadaniem tej sprawy zajęła się już delegacya osobna. Przyszła ona do wniosku, iż Towarzystwo warszawskie mogłoby teraz skutecznie rozszerzyć swą działalność w obrębie gub. Warszawskiej. Jakoż istotnie instytucya ta jest dziś zasobna i posiada podstawy trwałe, więc może śmielej działać bez szkody dla stowarzyszonych obecnych. W celu przedsięwzięcia stanowczych kroków i obeznania się z warunkami, na jakich kredyt będzie oparty, opracowano kwestyonaryusz, zawierający dwadzieścia kilka pytań. Żąda on wiadomości, dotyczących liczby mieszkańców tudzież oddzielnych posesyj i rodzaju budowli, stanu hipotecznego, skali opodatkowania własności miejskiej, wysokości ubezpieczenia ogniowego, danych o strażach ogniowych, kup-

*) Dane powyższe czerpaliśmy z książki p. t. „Zarys 25-letniej działalności Tow. kredytowego m. Warszawy,“ opracowanej przez pp. A. Bardzkiego, A. Czajewicza, E Diehla, A. Makowieckiego, Z. Mirosławskiego i W. Nowakowskiego. Warszawa, 1896.

---

małem ją, jak spełnioną nadzieję, jak ziszczone natchnienie całego życia — to słodkie ciało do mnie lgnące. Uklęknę, uklęknę przed tobą. Jak dawniej, wycięgnę ręce, położę ci na ramionach i patrzeć będę: uśmiech lekki, słaby, jak łagodny, wygięty rys cienia, koło warg osiądzie, oczy twoje pociemnieją jeszcze bardziej i od wzruszenia, oddania się, wyglądać będą, jak dwie zatrzymane łzy czarne. Widzę je wyraźnie: zanurzają się we mnie i mącą mnie, jak wiosła głębię stawu. Uklęknę i tak pozostaniemy nieporuszeni, z duszą do dna wzburzoną. Ciężko bardzo! Teraz mnie odrzuci. I jakże ma inaczej uczynić? Wyszarpie mi kawał serca i odejdę śmiertelnie ugodzony. Cała moja egzystencya od jednego zamachu rozpryśnięta. Nie zniosę jej widoku: ziębnę cały z obawy, chłód owiewa mi nogi. Po co tu przyjechałem? Zapomniałbym po pewnym czasie. Czyż warto tak poświęcić życie, nie wiedząc, na co? I czyż kobieta jest wszystkiem? Jestem człowiekiem, którego życie idzie już gładko. Po jakiego dyabła wracać było do młodzieńczych szaleństw — i nie szaleństw nawet. Akurat od tygodnia sobie to powtarzam. Spokój mój rzuciłem, jakby on był śmieciem, gorzej — rzeczą szkodliwą. Miałem ten spokój przecież. Wielka rzecz, że od czasu do czasu przesuwał się jej obraz; nie można zabić swej pamięci. I pamięć to nie — ja, to rzecz mimowolna. A czyż tylko to ona na myśl przywołuje? Waryacyą zupełną jest tak kopnąć całą ciszę i spokój życia, niby lekkomyślny smarkacz. I cóż będzie nawet, jeśli mnie przyjmie, jeśli obudzi się w niej dawne uniesienie? Odepchnie, odepchnie z pewnością. A wtedy zacznie się okres szamotań, zawrotów głowy i niepokojów bez końca. Odepchnie, odepchnie. Nogi mi słabną. Już rynek, i ten dom, a w nim... Pogrążę się jak czółno, które uderzyło o kamień podwodny; wcale nie podwodny: z rozmysłem rzucam się na ostrą skałę. Tu sień; mieszkają na pierwszem piętrze. O tej porze męża nie ma, zapewne i jej nie będzie. Byłoby dobrze, gdyby jej nie było. Strasznie głupio, że się tak boję: mam ciało jakby zziębło, a powietrze jest gorące Schody brudne i ciemne. Wrócę; nie mam siły zadzwonić. Jak głupio po tylu latach wrócić i powiedzieć: to ja właśnie jestem tym, który ciebie całował, gdy byłaś jeszcze... Zdaje się, że zęby mi dygocą i febrę mam. Muszę wyglądać, do pioruna, jak nieboszczyk, który wraca do — śmierci. Trzeba jednak zadzwonić; cicho w mieszkaniu: pewnie jej niema. Bije mi serce, jakby wielki dzwon rozkołysany, skronie uderzają, jak młoty; oddychać nie mogę. Cicho zupełnie. O, dzwonek mi głowę rozsadza: ćmi się w oczach. Ucieknę Cicho; nic nie słychać. Jak to dobrze, że jej niema; wcale nawet nie jestem wzruszony. Klamka się porusza — ziębnę. Odmykają się drzwi; głowa — nie ona — moja...

* * *

— Cóż to? Szalony? Co pan robi. Niechże pan wstanie. Cóż to znaczy? Niespełna rozumu. To on, Aleksander, wrócił. Jak się zmienił! Ależ niech pan wstanie. Czy się nie mylę, to pan Aleksander Za...

— „To ja, panno... pani Jadwigo. Przyszedłem, bo nie mogłem inaczej.“

— „Ależ po co się tak dziwnie było witać? Niechże pan wejdzie do mieszkania. Władzia... męża niema w domu, ale to nie szkodzi. Proszę, niech pan wejdzie “ Bardzo blady; bardzo musi być zmęczony z podróży. Musi też pamiętać... i ja nie całkiem spokojna. Jak to dawno, za mgłą wielką, daleko. Powiem Annie, aby coś kupiła... „Niechże pan tu wejdzie tymczasem, zaraz wrócę.“ Dziwnie mi jest; nigdym nie przypuszczała, że go kiedy zobaczę. Jak to dawno! „Słuchaj, Anno, mu-

cach gildyjnych, instytucyach kredytowych, fabrykach, ich produkcyi, liczbie robotników znaczniejszych zakładach rzemieślniczych, cechach, szkołach itd. Od pospiesznego zwracania kwestyonaryusza zależeć będzie bieg sprawy kredytu długoterminowego dla miast powyższych tudzież opracowanie projektu, najbardziej odpowiadającego potrzebom istotnym.

Dzieje poprzednich zabiegów dają pewno pojęcie co do czasu i sumy energii, niezbędnych przy rozwoju poważnych usiłowań w tej mierze. Objęcie zaś przez Towarzystwo kredytowe m. Warszawy jednej tylko gub. Warszawskiej, daje rękojmię szybszego urzeczywistnienia starań i zarazem służy za wskazówkę dla innych Towarzystw, które również może się postarają o prawo rozpostarcia swojej działalności nad guberniami. Pozostanie atoli jeszcze znaczna część Królestwa, tj. gubernie dotychczas zupełnie pozbawione takiej organizacyi: Radomska, Kielecka, Siedlecka, Łomżyńska i Suwalska. Od powodzenia zabiegów obywateli Kutna, Łowicza, Włocławka, Skierniewic, Pułtuska i Płońska zależeć będzie sprawa kredytu miast całego kraju.

Z GALICYI

Wnioski Daszyńskiego. — Walka rasowa w parlamencie wiedeńskim. — Słowianie biorą górę. — Opozycya w łonie gabinetu. — Rola Żydów w walce Słowian z Niemcami. — Dopuszczenie kobiet do uniwersytetu i warunki. — Prywatne gimnazyum we Lwowie. — Wyższe kursy dla kobiet.

Do niedawna jeszcze widownią starć i przedmiotem zajęcia całego cywilizowanego świata był parlament francuski; dziś palmę pierwszeństwa pod tym względem trzyma podobno Rada państwa w Wiedniu. Zanim ukonstytuowała się i wybrała przewodniczącego, już stała się widownią awantury. Jeden z posłów galicyjskich, Szajer, był aresztowany o obrazę majestatu i inne tym podobne czyny. Daszyński, socyalista, wystąpił z wnioskiem, żądającym uwolnienia Szajera. Żądanie było niewątpliwie słuszne, bo co by to była za powaga tej Izby, gdyby rząd nie uszanował ani wolności, ani bezpieczeństwa jej członków. Wniosek ten poparły wszystkie grupy, nie wyłączając nawet Koła polskiego. Co innego wszakże poparcie, a co innego wykonanie. To też gdy przyszło do wykonania, 30 posłów, szanujących przedewszystkiem własny majestat, ulotniło się z sali. Byli to najdostojniejsi przedstawiciele wielkiej własności i tacy, którzy, jakkolwiek niczego więcej nie posiadają, oprócz długów, uważają, że są powołani zawsze do obrony „ładu i porządku.“ Nie przeto dziwnego, że w szeregu nieobecnych znaleźli się także przedstawiciele V-ej kuryi, wybrani przy pomocy starostów, policyantów i komitetów centralnych. Mimo wszakże tego dziwacznego protestu, wniosek przeszedł i Szajer został z więzienia uwolniony, ażeby zająć miejsce w Radzie państwa.

To pierwsze wystąpienie Daszyńskiego było uzasadnione chociażby z tego względu, że przypomniało Izbie jej prawa i powagę. Innem było drugie. Zachęcony wrzaskami najpodlejszych a nieprzychylnych nam piśmideł niemieckich, wielkich co do formy a maluczkich duchem, zażądał publicznego oskarżenia prezesa ministrów, K. Badeniego. W tym celu potrzeba mu było 40 podpisów; szukał więc amatorów — i nie znalazł. Sprawa była zbyt ryzykowną, zuchwałą i stronniczą. Powodem oskarżenia miały być ostatnie wybory do Rady państwa, dokonywane w Galicyi pod naciskiem władz. Nacisk niezaprzeczenie był, ale trzeba prawdę powiedzieć — bardziej kierowany duchem obywatelskiej samoobrony, niż intencyami rządu. Całe społeczeństwo polskie w Galicyi nie życzyło sobie dopuścić wrogich mu jednostek do parlamentu, gdzieby było dla nich pole do zohydzania nas na każdym kroku; nie wydaje mi się to ani zbrodniczem, ani złem. Niekiedy komitety centralne, a szczególnie wschodni, forsowały zbyt gorąco swoich wybrańców przy pomocy policyi — to inna rzecz. Daszyński, zaślepiony kosmopolityzmem, nie odczuwał tego, co odczuwali wszyscy wobec hajdamackich wybryków, a słuchał tylko głosu pseudo-liberalnej gadzinowej prasy niemieckiej. Tem tylko da się wytłomaczyć, że chociaż Polak z krwi, stanął po stronie Luegerów — i przegrał.

Próba wystąpienia przeciwko Badeniemu była równocześnie z jego strony egzaminem z polityki. Wielu z tych, którzy mu ufali, przekonał, że idea materyalna socyalizmu staje się drugorzędną, gdy chodzi o interes narodów i ras. A w parlamencie wiedeńskim odbywa się teraz właśnie walka rasowa, tem ciekawsza, iż zwycięstwo odnoszą narody słowiańskie nad garstką germańską, która podbiwszy je, narzuciła swój język, kulturę, rząd. Na razie liczne narodowości słowiańskie są rozbite, zbyt drobne lub zupełnie niedojrzałe do życia politycznego; wyzyskują ich przeto Niemcy i Madjary, albo też różne stronnictwa dla celów własnej polityki i używają za narzędzia rozmaitych opozycyj — niekiedy gorszących. Śród tego drobiazgu słowiańskiego, wypełniającego całą Austryę od Tyrolu aż po góry Skaliste, który albo zapomniał o życiu politycznem, albo w niem nigdy nie uczestniczył, występują tylko w parlamencie wiedeńskim dwie wielkie grupy: Polacy i Czesi. Koła polskie i czeskie co do siły prawie są równe, tylko gdy reprezentacya czeska jest nawskroś demokratyczna, polska jest jeszcze przeważnie szlachecką. Nie o to wszakże w tej chwili chodzi. Dość że Czesi i Polacy składają w Radzie państwa dwa zastępy, z którymi Niemcy muszą się liczyć, a co ważniejsza — obawiać. To też niezadowolenie między dwuma narodami starano się ciągle utrzymywać sztucznie. Młodoczesi długo szli na wędkę takiej polityki, z niesłychanem zacietrzewieniem i uporem, obrzucając Polaków błotem przy każdej sposobności. Trwało to aż do chwili wezwania Kaz. hr. Badeniego do steru rządu. Od tego czasu położenie zaczęło się zmieniać na lepsze, ale wściekłość Niemców, a szczególnie szowinistów, przemieniła się poprostu w furyę.

Mimowolnie nasuwa się pytanie: co mogło być przyczyną takiej zmiany? Powody bardzo proste i bardzo naturalne. Ludy słowiańskie Austryi, zrozumiawszy znaczenie swojej liczebności i wyrobiwszy się trochę politycznie, przyszły do tego przeświadczenia, że mogą się obyć bez profesora, że piętno niemieckości, nałożone na nie niegdyś przemocą, daje tylko fałszywe pojęcie o państwie. Kit niemiecki w wewnętrznych stosunkach nietylko nie jest niezbędnym, lecz da się doskonale zastąpić pierwszym lepszym volapükiem. Walka o prawa narodowe niejednokrotnie zakończyła się zwycięstwem; germanizm u góry musiał ustąpić miejsca sile słowiańskiej, napierającej z dołu. Tu przekonano się, jak wiele dobrego mogłaby zdziałać spójność. Szkoły słowiańskie w Cylei, w Cieszynie, w Białej, były naj-

---

sisz zaraz zejść i dokupić coś do obiadu. Będziemy pewnie na obiedzie mieli gościa. Tylko zejdź zaraz, bo już późno. Masz tu jeszcze, idź do cukierni i kup ciastek na deser.“ Brodę zapuścił, zmienił się bardzo. Mężczyzna teraz poważny; musi być już żonaty. Że nie zapomniał! Ale po co klęczał? Nie przypuszczałabym nigdy, że wróci, że go zobaczę. Jak go przedstawię Władziowi? Żeby się tylko nie domyślił, że go kiedyś... E, nie, to tak dawno, prawie obce. „Co się z panem działo? Dawno pan w Kostkowie? Niech pan z łaski swojej siada. Zmienił się pan, doprawdy, bardzo.“

— „I pani.“

— „Tak, trochę. Ależ opowiadaj pan o sobie. Tak dawno, tak dawno, jak się nie widzieliśmy... z sobą.“ Patrzy dziwnie, oczy mu błyszczą.

— „Sześć lat, proszę pani, pełne sześć lat; więcej nawet trochę. Ostatni raz...“

— „Tak, to kawał czasu. Ależ gdzie go pan spędził?“ Smutny jest. „Pojechał pan na Kaukaz, jak to postanowił?“ Płakałam długo.

— „Tak, pani. Dostałem miejsce na drodze żelaznej Zakaukazkiej i tam, w Azyi, spędziłem sześć lat. Myśli pani, że łatwo tak oderwać się od świata?“

— Mnie było jeszcze gorzej.

„Nie byłem jednak sam.“

— „Pan żonaty?“

— „Nie, nie żonaty. Nie byłem jednak sam; zabrałem z sobą wspomnienia.“

— Przykro wspominać. Aby tylko o tem nie mówił! Byłam głupią dziewczyną, płochą i głupią. „Nie zawsze mamy wspomnienia przyjemne.“

— „Myślałem o pani.“

— Po co mi to mówi? Surowszą ma teraz twarz, niż wtedy; bledszy jest i już nie ma tego miłego uśmiechu. Twarz pomarszczona; jest przecież jeszcze młody. Niespokojny jakiś.

— „Pracowałem wiele. Nic mi zresztą innego nie pozostawało, jak praca. Niech mi pani wierzy, że nie łatwo było zdobyć to, co posiadam. Ale wspomnienie o pani nie opuszczało mnie.“

— Chyba niezupełnie to prawda. Po co o tem mówi?

— „Nieraz, kiedy w nowem otoczeniu, wśród innych ludzi zastanawiałem się nad swoim losem, przestawałem rozumieć, po co pojechałem tak daleko. Po co było ścigać jakiś cel życia, kiedy rzuciłem jak waryat to, co było mojem jedynem...“

— Dawne to ogromnie. „Tak, ma pan słuszność. Wspomnienia te, dziwna rzecz, przychodzą nagle wtedy, kiedy ich się wcale nie spodziewa. Czasami, to prawie zabawne: ni stąd, ni zowąd przychodzi coś do głowy, co nie ma nic wspólnego z tem, co robimy lub chcemy robić. Ale pan na los się nie uskarża? Stanął pan mocno na nogach?“

— „Nie uskarżał Czy wie pani, że kiedy ludzie zazdrościli mi tego, com posiadał, kiedy mi było najlepiej, było mi najgorzej. Poprostu nie rozumiałem, na co to wszystko robię. Myślałem czasami: albo ż komu zależy na tem, czy dożyjesz do wieczora, czy nie? Po co jesz, śpisz, myślisz, pracujesz? I kiedym myślał, co porzuciłem, gryzł mnie ból, jak zły pies.“

— Smutny; marszczy czoło; policzki ściągnięte. I czegóż on chce, doprawdy? Życie ma spokojne, bez kłopotów, zmartwień, bez obawy o jutro. Ludzie są niesprawiedliwi. Patrzy na mnie; oczy szeroko otworzył „I dlaczegóż się pan nie ożenił.“ Zmarszczył się; uśmiecha.

— „Czy pani myślała o tem?“

— „O czem?“

— „Czym się ożenił?“

— „Myślałam dawniej.“ Czy to się czasu ma! „Ale trzeba to uczynić wcześniej, czy później.“

lepszym dowodem, jaka fala wydobywa się na wierzch. Niemcy walczyli i walczą zawzięcie, otwarcie — gdy to możebne, intrygą — gdy nie można oszczerstwem. Ponieważ Polacy w poczęciu tego ruchu nieposlednią odegrali rolę, stąd też nienawiść liberalnej prasy wiedeńskiej, *vulgo* żydowskich przedstawicieli giełdy. Rzecz bardzo naturalna: gdy wpływ niemiecki malał, oni tracili grunt pod nogami. Musieli przeto bronić własnej przyszłości materyalnej i nienawidzieć tych, którzy najbardziej przyczyniali się do usuwania tego gruntu. Teraz, kiedy sojusz polsko-czeski się wzmocnił i zagroził bardzo poważnie hegemonii niemieckiej, furya Niemców i ich najbliższych sprzymierzeńców doszła do granic ostateczności. Tą granicą były rozporządzenia językowe dla Czech, dążące do załatwienia nareszcie ugody czesko-niemieckiej. Nie zadowoliły one Niemców w wysokim stopniu i, jak się zdaje, w łonie samego gabinetu wywołały rozłam.

Na czele opozycyi niemieckiej przeciwko wpływom i przewadze Słowian stanęli podobno ministrowie Gleispach i Gautsch. Z początku za kulisami, a potem głośno zawrzała silna walka narodowościowa o ster rządów. Nastąpiły wybory, zebrał się parlament i okazało się, że rząd nie może złożyć większości. Intrygi nurtowały dalej. Być może, że Kaz. hr. Badeni, zrażony tem wszystkiem, postanowił usunąć się. Cesarz nie przyjął wszakże dymisyi. Ustąpienie Badeniego utorowałoby drogę do władzy naszym najserdeczniejszym, ludziom tego samego ducha i krwi, którzy Poznańskie cywilizują po swojemu. W dymisyę Badeniego na seryo nikt nie wierzył; uważano ją za manowr w celu pozyskania większej swobody działania. Tak się też podobno stało: cesarz nie przyjął jej, a w ten sposób wzmocnił stanowisko moralne prezesa gabinetu. Słowianie zwyciężyli. Walka dwóch pierwiastków etnicznych — germańskiego i słowiańskiego, odbywa się teraz w parlamencie wiedeńskim, a co rok szersze stanowiska zajmują Słowianie. Machina rządowa ledwie z trudem da się pokryć pozorami niemieckości. W tej walce o wzmocnienie żywiołu panującego niezmiernie ciekawą rolę cywilizacyjną odgrywają Żydzi. Z jednej strony stanęli oni jawnie po stronie Niemców, z drugiej — po stronie Madjarów, a zawsze przeciwko Słowianom. Obecnie, gdy szala zwycięztwa zaczyna powoli przechylać się na stronę słowiańską, prasa wiedeńska, będąca prawie całkowicie w ręku Żydów, zaczyna zmieniać front.

Tu i owdzie, zarówno w parlamencie, jak i po za jego murami, odzywają się głosy o potrzebie utworzenia wspólnego klubu słowiańskiego, do któregoby weszli przedstawiciele wszystkich słowiańskich narodów w Austryi. Jeżeli tak się stanie, będzie to krokiem naprzód do przekształcenia dzisiejszego dziwoląga państwowego, posiadającego język niemiecki, a krew i ciało słowiańskie.

Z dziedziny życia umysłowego należy zanotować nowy fakt, posiadający dla przyszłości doniosłą wagę, mianowicie urzędowe dopuszczenie kobiet do uniwersytetów w Austryi. Jest ono wprawdzie połowiczne, jak wszystko, co się tutaj dzieje, ale zawsze stanowi krok naprzód. Stosownie do reskryptu ministeryalnego, kobiety będą miały prawo wstępowania do uniwersytetu, ale tylko na wydział filozoficzny. Pożądany jest dyplom w zakresie szkół męzkich. Mogą także uczęszczać w roli hospitantek kobiety, które nie posiadają szkolnego świadectwa dojrzałości, lecz średnie wykształcenie szkół żeńskich. Najdziwniejszem jest to, że ów dyplom nie otwiera bezwzględnie kobietom uniwersytetu, ale trzeba jeszcze osobnego zezwolenia dziekana. Jest to tem dziwniejsze, że nielogiczne i przypomina pozwolenie mamy i tatka; ale dzięki Bogu, że błogosławieństwo nie jest wymagane. Jeżeli warunkiem przyjęcia do uniwersytetu mężczyzn bywa zwykle skala wiadomości i umysłowego wykształcenia, nie widzę racyi, dlaczego kobietom dodawać jeszcze — pozwolenie dziekana. Każdy, kto składa egzamin dojrzałości, już otrzymuje tem samem pozwolenie wstąpienia do uniwersytetu.

Wogóle krok ten w dziedzinie wykształcenia niewieściego, niezawodnie pożyteczny i doniosły, jest równocześnie połowicznym i niekonsekwentnym. Zdaje się, że ministrowi oświaty nie chodzi o wyższe wykształcenie kobiet, lecz o to jedynie, ażeby pewnej ich liczbie — nauczycielkom — otworzyć szersze pole do pracy, jedne zachęcić, drugie zmusić do pozostania nadal na zajętem stanowisku. Mimowoli nasuwa się wszakże uwaga, że cała ta robota jest czemś w rodzaju próby, bo gdyby ministeryum na seryo było przekonane, że kobiety tak samo potrzebują nauki, jak i mężczyzni, że należy im otworzyć tak samo wszystkie drogi do pracy, rozpoczęłoby niezawodnie budowę od fundamentu, nie zaś od dachu — od szkół średnich, od gimnazyum, nie zaś od wydziału filozoficznego. O takie szkoły dla kobiet, któreby dawały wstęp do uniwersytetu, upomina się już oddawna całe społeczeństwo — nadaremnie.

Pozostaje mi jeszcze do zapisania fakt bardzo pocieszający — utworzenie od początku bieżącego roku szkolnego gimnazyum żeńskiego we Lwowie. Tym razem rzecz jest zupełnie pewną. Gimnazyum prywatne otwiera p. Wiktorya Niedziałkowska przy swoim wyższym zakładzie wychowawczym dla panien. Na razie będą tylko dwie klasy, a następnie co rok po jednej lub po dwie w miarę potrzeby. Można śmiało powiedzieć, że nareszcie teraz dopiero wykształcenie kobiet, mających na celu studya uniwersyteckie, wejdzie na tory tak prawidłowe a pożądane, a pod okiem rozumnej kobiety panienki będą miały naukę, dozór i kierunek. Pensyonat p. W. Niedziałkowskiej dał się poznać szerokiej publiczności w czasie ostatniej wystawy. Każdy, kto się interesował metodą nauczania i wychowania, przekonał się wówczas, jak wysoko stoi ten zakład. Niewątpliwie że i z gimnazyum będzie miało społeczeństwo nasze rzetelny pożytek.

Przed kilku dniami odbyło się zamknięcie roku szkolnego na lwowskich wyższych kursach żeńskich, a sprawozdanie stwierdza ogromny rozwój tej pożytecznej instytucyi. Wobec wszakże reskryptu ministra, otwierającego dla kobiet wrota uniwersytetu i gimnazyum prywatnego, mającego na celu prawidłowe przygotowanie, wyższe kursa żeńskie pozostaną tylko — dla amatorek.

Cho.

KRONIKA POZNAŃSKA.

Poznań, 20 kwietnia.

Przemówienie sekretarza stanu.— Uprzejmość żandarmów pruskich. — Rozwiązywanie zebrań. — Sprawa komisyi kolonizacyjnej w sejmie pruskim. — Dobrodziejstwo i niewdzięczność.— Oświetlenie kolonizacyi przez członka centrum. — Prześladowanie prasy polskiej. — Żądanie praw wyjątkowych przeciwko ludności polskiej. — Towarzystwo zwalczania hakatyzmu.

Można twierdzić na pewno, iż wszystko, co mówił żandarm, było zamknięte w ramkach prośby wielce uprzejmej. (Wesołość!) Ja sam miałem sposobność poznać wielu grzecz-

---

— „Pani też tak postąpiła. Pani to nie dziwi, że się nie wypytuję, co się z panią przez ten długi czas działo?"

— Nie przychodziło mi do głowy. „Nic osobliwego. Spodobałam się, będzie temu zgórą pięć lat, Władziowi — to mąż mój — i pobraliśmy się. Okazywał mi dużo serca, kiedy byłam... kiedy martwiłam się po wyjeździe pana. Ale to dobrze, że już przeszło. Prawda? To dobrze, że już dawno, jak to minęło." Blady bardzo. Co mu jest?

— „Sobie uczyniłem krzywdę największą."

— „Od tego czasu życie moje jest, chwała Bogu, spokojne. Ma się kłopoty, ale bez nich już obejść się niepodobna." Jak go przedstawię Władziowi?

— „Dowiadywałem się o każdym kroku pani podczas mojej nieobecności; życzliwi dawali mi najdokładniejsze sprawozdania. Bardzo pani rozpaczała po śmierci ojca?"

— „Niech się pan lepiej nie pyta; nagle zostałam sama jedna i gdyby nie Władzio.."

— „I szczęśliwa pani teraz?"

— „Szczęśliwa! Czy się o tem myśli? Jestem zadowolona." Jak go jednak przedstawić Władziowi? Nie chciałabym...

— „A czy pani nie żal niczego... z przeszłości?"

— „Żal? Nie było mi wcale dawniej tak dobrze, abym... Zresztą, nie miałabym na to czasu. Gospodarstwo zabiera mi cały dzień; prócz tego ma się dosyć do myślenia zawsze na cały tydzień. Pan nie dasz wiary, ile jest zajęcia. Wydaje to się niby niczem, a tymczasem wszystko wymaga zachodu. Przecież trzeba dom trzymać w porządku; tak tylko można spokojnie żyć. Bo jeżeli..."

— „I przeszłość znikła; wspomnienie snu dłużej zostaje. Czy pani rzeczywiście nie żal tych uniesień młodości, kiedy..."

— „Po co o tem wspominać? Smutno się bardzo robi. Zresztą, byłam niedoświadczoną dziewczyną, która nie wiedziała nic zgoła, czem jest życie. Kiedy się jest bardzo młodą, ma się zawsze szaloną głowę, a kończy się wszystko źle, bardzo źle — pan sam wie. Po co wspominać? Trzeba, aby życie było regularnem, spokojnem. Nie żyje się przecie jeden dzień! Teraz nie skarżyłabym się wcale, byłoby mi zupełnie dobrze, gdyby..."

— „Nie ma pani słuszności; jest pani zupełnie dobrze."

— „Nie, nie zupełnie; martwię się tem, że nie mam dzieci. Cóż to, pan wstaje, panie Aleksandrze? Już pan odchodzi? Drżą panu wargi!"

— „E, to nic; wyczerpany jestem ogromnie z podróży."

— „Czy pan niezdrów? Możeby pan się napił czego? Koniaku?"

— „Nie, nie. Do widzenia z panią. Jestem bardzo zmęczony, zresztą, zupełnie mi dobrze. Mam pilny interes do załatwienia w mieście. Do widzenia się."

— „Pan przyjdzie wieczorem do nas? Władzio będzie i..."

— „Pewnie, pewnie. Bardzo jestem zmęczony, więc wybaczy pani... Nie trzeba tracić nadziei, jeszcze może pani mieć dzieci. Niech pani tylko..."

— Jaki zdenerwowany! „Więc pan pójdzie wypocząć i zaraz potem..."

— „Mam jeszcze interes niecierpiący zwłoki na mieście. Może będę musiał zaraz wyjechać. Do widzenia! Ale to nic, nie jestem nawet bardzo zmęczony."

— „Do widzenia! Niechże pan nie zapomni przyjść." Jak gdyby uciekł. Zmienił się dziwnie od tego czasu. Jak Władziowi opowiedzieć? Po co jednak przyjechał?



nych żandarmów, chociaż mowa tych stróżów prawa bywa nieco zwięzła. Wszyscy uczestnicy zebrań mówili po niemiecku i cel wiecu za pomocą żądania urzędnika nie mógł być unicestwiony. Pruski minister spraw wewnętrznych przedsięwziął środki zaradcze. Chodzi tu głównie o zebrania, zwoływane na podstawie państwowego prawa wyborczego. Jednocześnie ów minister polecił, ażeby nie rozwiązywano zgromadzeń z powodu posługiwania się na nich językiem polskim. Jeżeli rozporządzenie to nie będzie wykonywane, skarga natychmiastowa odniesie skutek lepszy, niż poruszenie sprawy w parlamencie po stwierdzeniu, iż wszystko dzieje się tak, jak się dziać powinno. Trzeba atoli wziąć pod uwagę, iż nie wszędzie można mieć urzędników policyjnych rozumiejących po polsku, gdzie na zebraniu jest większość Polaków. Bądź co bądź, jest rzeczą niezmiernie pożądaną, ażeby najwyższy sąd państwowy na nowo rozpatrzył tę sprawę. Rząd także będzie z tego zadowolony, gdyż nie chodzi mu wcale o krępowanie wolności wyborczej."

Tak przemówił przed kilku tygodniami sekretarz stanu dr. v. Boetticher w parlamencie niemieckim z powodu interpelacyi, wniesionej przez posła Czarlińskiego. Poseł Jażdżowski stwierdził jednak, iż na zebraniu w Linsku żandarm wcale nie grzeszył uprzejmością. Zebranie zamknięto nie przez przewodniczących, jak to utrzymywał Boetticher, lecz rozwiązano. Najwyższy sąd administracyjny postanowił, iż na zgromadzeniach wolno używać języka polskiego. Prawo to przecież nie powinno zależeć od poglądów policyi. Tymczasem zarządzenia policyjne i potworna działalność hakatystów ciągle niepokoją naród Boetticher zaznaczył, iż rząd stara się o urzędników umiejących po polsku dla kontrolowania zgromadzeń, ale nie zawsze jest to możliwe. Więc Niemcy, mając przez tyle dziesiątków lat do czynienia z narodem wysoce kulturalnym, posiadającym wielkie zasoby sił duchowych, nie mogły dotychczas się zdobyć na odpowiednią a stosunkowo niewielką liczbę urzędników, rozumiejących po polsku? Ile niezręczności i naiwności mieści się w tych wykrętach!

Rozprawy nad interpelacyą zamknięto, wypowiedziano mnóstwo uwag i obiecanek, ale rzeczy pozostaną nadal tak, jak były. Formie stało się zadość. Wprawdzie wydano pewne instrukcye do władz administracyjnych, ale ciągle panuje chaos, żandarmi i wójtowie nie wiedzą, czego się trzymać. Jedni rozwiązują jeszcze zebrania, inni zachowują się biernie. W tym zamęcie zdarzył się wielce charakterystyczny wypadek: żandarm rozwiązał zebranie w chwili, gdy mówca, Polak, wniósł okrzyk na cześć cesarza i papieża. Wogóle najsmutniejsza jest styczność z tym drobiazgiem urzędniczo-administracyjnym, aroganckim, brutalnym, jeszcze nieodzwierzęconym.

Sprawa komisyi kolonizacyjnej oparła się przed kilku tygodniami o sejm pruski. Obradowano nad etatem tej instytucyi oraz nad wnioskiem zniesienia jej, postawionym przez Koło polskie. Oczywiście, jak należało przypuszczać, wniosek ten odrzucono. Obrońcy ustawy z 26 kwietnia 1886 r. usiłowali przekonać Polaków, że komisya kolonizacyjna jest wielkiem dobrodziejstwem i łaską dla W. Ks. Poznańskiego i Prus Zachodnich, a więc i dla ludności polskiej tych prowincyj. Organizacya ta, zdaniem ich, jest zgodną z konstytucyą, prawem i poczuciem sprawiedliwości. Dzięki temu „dobrodziejstwu," obszary jałowe, „pustynie," zamieniły się na kraje kwitnące dobrobytem, celujące rozwojem kultury. Polacy niewdzięczni nie widzą tego i nie darzą uznaniem działalności komisyi kolonizacyjnej. Przeciwnie — żądają zuchwale zniesienia jej, zamiast popierać wniosek narodowo-liberalnych o wyznaczenie nowego kredytu w sumie 100 milionów marek. Cynizm tych dowodzeń wystąpił z całą siłą i znalazł poparcie znacznej większości, działającej przeciwko wnioskowi Koła.

Wobec takiego nastroju mocnym rozdźwiękiem zabrzmiał głos posła niemieckiego, członka centrum, Im Wallo, który zaznaczył, że jedynym widocznym i ważnym wynikiem ustawy jest burzenie pokoju wewnątrz państwa, rozpalanie walki narodowościowej, osłabianie śród obywateli niemieckich poszanowania prawa, skutkiem ucisku narodowości, mającej uprawnione istnienie, i to nacisk środkami wielce niesprawiedliwymi. Co rząd pruski dziś posiał, to w przyszłości będzie zbierał. „Ciągłem dręczeniem i uciskaniem ludności, zniechęca ją do siebie i wrogo usposabia; a więc w chwili stanowczej, niebezpiecznej, może nie znaleźć śród niej miłości i wierności." Kultura niemiecka wystawiła sobie świadectwo ubóstwa i niższości, uciekając się do sztucznych środków ucisku w walce z kulturą polską. Walka żywiołu niemieckiego z polonizmem powinna być wolna, duchowa; świadczyłoby to o prawdziwem poczuciu narodowem niemieckiem, gdyby sądzono, że w wolnym rozwoju sił zwycięży niemieckość.

Taki był zasadniczy nastrój i taka treść przemówienia członka centrum. Fakty dowiodły, że walka dotychczasowa za pomocą komisyi kolonizacyjnej przyniosła Niemcom rozczarowanie, a Polaków nie zgubiła. Niedawno podaliśmy na tem miejscu cyfry ogólne działalności komisyi, więc ich obecnie nie będziemy powtarzać. Głównego celu nie osiągnięto, a natomiast rozdrażniono polską ludność wiejską przeciwko żywiołowi niemieckiemu; stworzono masy żywiołowo niechętne i wrogie, a więc takie, na które w chwilach krytycznych istotnie liczyć nie można. Ostateczne wyniki będą zatem wprost odmienne, bo — silne i coraz trwalsze wyodrębnienie ludności polskiej.

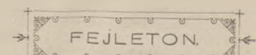
Nad takiem wyodrębnieniem oprócz komisyi kolonizacyjnej, usilnie pracują hakatyści: Jednym z ważnych szczegółów ich działalności jest obecnie prześladowanie prasy polskiej. Redaktorowi naczelnemu *Kuryera Poznańskiego*, d-rowi M. Kanteckiemu, wytoczono proces z powodu artykułu, za który już poprzednio ściągnięto 600 marek kary. W toku sprawy nadprokurator wypowiedział następującą wielce charakterystyczną uwagę: „Wcale nam dotąd nie było wiadomem, że pisma polskie utrzymują tylko podstawionych redaktorów odpowiedzialnych; dowiadujemy się dopiero obecnie, od chwili gdy zaczęto prześladować pisma polskie. Przez kilka bowiem lat poprzednich panował prawie zupełny spokój w tej mierze." Dotychczas redaktor odpowiedzialny, według prawa prasowego, osłaniał swoją firmą całą redakcyę; obecnie od procesów nie są wolni redaktorowie naczelni i współpracownicy. Tak np. oprócz przedstawiciela organu powyżej wymienionego, stanie przed kratkami sądowemi redaktor naczelny *Dziennika Poznańskiego*, p. Łebiński. Wogóle obecnie w W. Ks. Poznańskiem i Prusiech Zachodnich podobno pisma polskie mają przeszło *trzydzieści* procesów politycznych.

Obok tych jawnych dowodów rozgałęzionej agitacyi hakatystów, są i inne, które świadczą, że ich działalność po dojściu do najwyższego napięcia widocznie wyczerpała się i zaczyna w wielu punktach słabnąć. Sami członkowie Towarzystwa szerzenia niemczyzny już ubolewają nad szkodliwem i nawet groźnem zaostrzeniem się antagonizmu dwu narodowości w W. Ks. Poznańskiem. Dodajmy, że ten antagonizm ze strony Niemców nie dotyczy wyłącznie Polaków, lecz coraz wyraźniej ogarnia całe plemię słowiańskie. Rozpalona nienawiść bierze wszystko na żer i najmniejszym drobiazgiem podsyca swe płomienie. Takim materyałem była również tragiczna śmierć nauczyciela elementarnego, Grüttnera. Śledztwo wykazało, że był on stroną zaczepną, pijany wszczął bójkę z jadącymi w wagonie robotnikami, następnie wyskoczył i utknąwszy głową w piasek, udusił się. Rozpuszczono pogłoskę, że go robotnicy wyrzucili. Sprawa przed zupełnem wyjaśnieniem tendencyjnie rozdęta do potwornych rozmiarów i wykręcona, dała powód pismom niemieckim do wylania swego jadu na nas. Niektóre dzienniki namiętnie żądają praw wyjątkowych (raczej bezprawia) przeciw ludności polskiej pod panowaniem pruskiem. Wściekłość tę podniecił niekorzystny dla Niemców wynik wyborów w okręgu świeckim, skutkiem agitacyi przedwyborczej śród ludności polskiej. Sami Niemcy, rozsądniejsi, twierdzą, że agitacya ta pochodzi z prześladowania Polaków, gdyż rozwiązywanie zebrań musi rozwijać akcyę po za niemi.

Nieustanna działalność hakatystów jest uciążliwą dla Polaków, ale trzeba przyznać, że pod wielu względami nadspodziewanie wywołała ona objawy wprost pomyślne dla nas, a niekorzystne dla Niemców. Oto jeden przykład: W Chełmnie (Prusy Zachodnie) ludność polska skutkiem nawoływań zerwała stosunki z przemysłowcami niemieckimi, należącymi do związku szerzenia niemczyzny. Ci zaś, poniósłszy z tego powodu znaczne straty materyalne, muszą prosić o zniżenie stopy podatkowej.

Może właśnie pod wpływem takich i wielu innych faktów Niemcy uczciwi podobno postanowili założyć „Towarzystwo zwalczania hakatyzmu" (*Verein zur Abwehr des Hakatismus*). Zadaniem jego ma być prostowanie kłamstw, rozsiewanych w pismach i broszurach związku trzech liter, tudzież ujawnianie korzyści finansowych, ciągnionych przez członków tego stowarzyszenia, pod postacią stypendyów i wszelkich zapomóg z funduszów antypolskich.

et.



PAMIĘTNIK.

Kaprysy wiosny

Jeżeli prawdą jest, że klimat wywiera wpływ na charakter mieszkańców, to doprawdy trudno wymagać od nas stałości. Od paru miesięcy mamy prawie codzień wszystkie pory roku. Temperatura waha się w granicach kilkunastu stopni, po pięknej pogodzie w kilka godzin następuje zimno i deszcz, wiosna miesza się z zimą. Wobec tych kaprysów natury nie wiadomo, jak zabezpieczać zdrowie, jaki kierunek nadać pracy na otwartem powietrzu. To też choroby się mnożą, a roboty są paraliżowane. Najwięcej cierpi rolnictwo. Skutkiem zbyt obfitych opadów w wielu miejscach mokra ziemia nie może być uprawiona, a zasiewy wiosenne uległy znacznemu opóźnieniu. Jeżeli ten stan dłużej potrwa, należy się spodziewać częściowego nieurodzaju, zwłaszcza w jarzynach. Obawa ta ujawnia się już w podwyżce cen na rynkach zbożowych, tem bardziej usprawiedliwiona, że w niektórych okolicach od nadmiaru wilgoci mocno już ucierpiały oziminy. Wogóle rok bieżący nie zapo-

wiada się dla rolników pomyślnie, a nawet nie jest wyłączona możliwość częściowej klęski. Dla naszego kraju jest to wypadek pierwszorzędnej wagi.

Walka z Niemcami

Pierwszy atak z naszej strony wykonany został na kolumnę Meydera, który bez obrony skapitulował. Ogłosił bowiem w gazetach, że nie jest wcale Prusakiem, lecz Wirtemberczykiem, że w swej drużynie ma przedstawicieli rozmaitych plemion, a nawet pięciu Polaków, że przeto nic mu nie przeszkadza przybyć do Warszawy i grać w Dolinie Szwajcarskiej. Niektóre pisma rozrzewniły się tą pokorą, inne uznały „incydent za załatwiony," tylko *Kuryer Codzienny* okazał się nieubłagany i oświadczył, że dla niego Wirtemberczyk, Bawar, Sas itd. są również Niemcami, z którymi wszelkie stosunki zerwać należy. Ponieważ — jak to wyjaśniono publicznie przed kilku laty—Niemcy wynaleźli śliczną instytucyę „podwójnego poddaństwa," która im pozwala udawać obywateli tego kraju, gdzie czasowo przebywają i jednocześnie nie zrywać węzłów z macierzą, nietylko istnieje słuszny powód do podejrzywania szczerości p. Meydera, ale nawet nie należałoby się wcale dziwić, gdyby on przysiągł, że jest najrzetelniejszym Mazurem.

Hardziej postąpiła sobie załoga Sobot, dotychczas stale nazywanych w Warszawie *Zoppotami* (gdyż daleko szykowniej wygląda jechać do Zoppot, niż do Sobot). *Danziger Ztg* wyraziła zadowolenie z „bojkotu" (również nasz piękny, warszawski wyraz). „Nie możemy powiedzieć — pisze ona — ażeby polscy goście kąpielowi byli przyjemni. Kto ich obserwuje w ogrodzie zakładowym lub na wybrzeżu, przyznać musi, iż zachowanie się ich jest niezwykle wyzywające i nie zawsze przyjemne. Ich zuchwalstwo w wymaganiach dochodzi do tego, iż przed 2—3 laty w jednej z księgarni gdańskich jakaś dama żądała widoków Gdańska z podpisami polskimi. Właściciel księgarni nie mógł na to odpowiedzieć w sposób *stosowny* (!), gdyż żądanie było zwrócone do ucznia, dama zaś, po wyrażeniu zdumienia z powodu, iż takich widoków niema, szybko wyszła ze sklepu My, mieszkańcy Sobót, z małymi może wyjątkami, będziemy umieli pocieszyć się z powodu nieobecności Polaków, a mamy nadzieję, iż straty pokryją nam sympatyczniejsi goście z Niemiec środkowych. Postanowieniu lekarzy warszawskich możemy tylko przyklasnąć, tem bardziej, iż niebawem „Związek popierania niemczyzny" założy i w Sobotach swoją filię "

Możnaby i tę kwaśną radość zaliczyć do naszych zwycięztw i możnaby wogóle dotychczasowe nasze śluby poczytać za objawy jakiegoś odwetu, gdyby nas nie napastowała obawa, że na tych i kilku podobnych odruchach cała nasza zawziętość się skończy i że wkrótce powrócimy do dawnej obojętności lub do odpierania śmiertelnych pocisków rzucaniem grochu. Tak w tym, jak w tysiącu innych wypadków nie przestaniemy powtarzać: czynów, czynów więcej, bo słów mamy już dosyć.

A. Tołoczanów

Zmarły przed kilku dniami prezes Towarzystwa kredytowego ziemskiego byłby wszędzie osobistością szanowaną za życia i żałowaną po śmierci, na tle jednak stosunków miejscowych odbił on się szczególnem znaczeniem. Znaczenie to dawała mu nietylko istotna prawość charakteru, ale szczera życzliwość dla społeczeństwa, którego nie był synem a był częściowym kierownikiem. Obok czcigodnej postaci b. prezydenta Warszawy, gen. Starynkiewicza, była to druga osobistość, ciesząca się powszechną sympatyą. Stanowił on też przykład, jacy ludzie są najodpowiedniejsi do spełniania obowiązków urzędowych w warunkach, w których zbiegają się sprzeczne interesy i dążności, występują zasadnicze, choć niewidoczne starcia. Życzliwość Tołoczanowa dla naszego społeczeństwa nie była jedynie czasową. On rzeczywiście znalazł w życiu naszem pierwiastki, które pociągnęły jego rozum i uczucia. Wymownym tego dowodem było jego długoletnie zajmowanie się historyą i literaturą polską i zgromadzenie obfitego księgozbioru w tych przedmiotach. Całą zaś swoją bardzo bogatą bibliotekę zapisał uniwersytetowi warszawskiemu.

Odszedł też z tego świata, pozostawiwszy śród nas dobre wspomnienie.

Z powodu monopolu.

Wprowadzenie monopolu wódczanego w Królestwie Polskiem wpłynie nietylko na zasadniczą zmianę formy handlu, lecz wogóle oddziała na warunki ekonomiczne ludności pracującej. Do zarządu poborów akcyzy w guberniach Warszawskiej i Siedleckiej napłynęło przeszło *dwanaście tysięcy* podań o posady. Prawie wszystkie te prośby pochodzą od dotychczasowych pracowników handlu trunkami. Posad zaś w Warszawie i dwu powyższych guberniach będzie zaledwie 500. Wszystkie wszakże podania odrzucono nie ze względu na małą ilość miejsc, lecz dlatego, że podobno wyraźnem dążeniem władz odpowiednich jest stanowcze usunięcie z handlu monopolowego wszelkich żywiołów, które obecnie na usługach przedsiębiorstw prywatnych mają do czynienia z klientelą szynków lub traktyerni. Tym sposobem dwanaście tysięcy ludzi tylko w Warszawie i dwu guberniach pozostanie bez chleba. Jeżeli taki stosunek liczebny przypada i na inne gubernie, to można liczyć, że w Królestwie Polskiem pozostanie bez zajęcia około *sześćdziesięciu tysięcy* ludzi. Cała ta armia, nieprzygotowana do innego rodzaju pracy, stworzy wielki ciężar ekonomiczny w naszem społeczeństwie i odbije się ujemnie na ogólnych warunkach bytu. Jednocześnie posady w handlu monopolowym zajmą nowi ludzie. Będą to kandydaci najbardziej przez zarząd akcyzy pożądani: byli urzędnicy, wojskowi niższych stopni i dawni nauczyciele szkół początkowych, oraz kobiety: wdowy po urzędnikach lub wojskowych.

Kursy ogrodnicze.

Skutkiem zabiegów kuratora instytutu moralnej poprawy chłopców w Mokotowie, wprowadzona będzie bardzo pożądana i ważna reforma, stosownie do woli Ksawerego hr. Pusłowskiego. Aktem notaryalnym, sporządzonym r. 1857, darował on instytutowi kolonię (49 morgów magdeburskich) z zastrzeżeniem, ażeby wychowańcy uczyli się ogrodnictwa. Brak funduszów przez długi czas nie pozwalał urzeczywistnić tej myśli. Obecnie przeszkodę usunięto i wkrótce powstaną kursy ogrodnicze według planu następującego: Kolonia Ksawerów ma być oddana w dzierżawę ogrodnikowi specyaliście, którego obowiązkiem będzie uczenie: ogrodnictwa, warzywnictwa, pszczelnictwa i jedwabnictwa 12-tu wychowańców zakładu. Kurs trzyletni. Wychowańcy będą codziennie uczęszczali do kolonii, zajęcia zaś teoretyczne odbywać się mają wieczorami w gmachu instytutu pod kierunkiem przełożonego. Dwa razy do roku w obecności delegatów rady miejskiej, zarządu instytutu i Towarzystwa ogrodniczego będą urządzane egzaminy z kursów: owocarstwa i warzywnictwa. Wychowańcy po upływie lat trzech będą oddawani na praktykę dwuletnią do innych ogrodów i następnie otrzymają świadectwa uzdolnienia na ogrodników wiejskich. Tym sposobem zakład wychowa gromadkę pożytecznych i bardzo pożądanych fachowców. Dotąd bowiem jedną z przeszkód racyonalnego rozwoju ogrodnictwa w kraju naszym jest właśnie brak ogrodników wiejskich.



KOSMOS I SPOŁECZEŃSTWO

(z powodu Z. Herynga: „Logika ekonomii").

IV.

Układ prywatny i społeczny.

Niewdzięczną jest krytyka książek, które są tylko wstępem do większej pracy. Mogą tam znajdować się pozorne sprzeczności, które jednak, ze stanowiska poglądów autora, nie są sprzecznościami. Ponieważ czyjeś zapatrywania nie pasują do naszego pojmowania, przeto traktujemy te rozpierzchłe ogniwa jako przeczące sobie nawzajem, bo nie posiadamy jeszcze klucza. *Logika ekonomii* stawia nas poniekąd w takiem przykrem położeniu. Przechodząc do nowego działu zjawisk ekonomicznych, wyłożonych w tem dziele, i poddając w wątpliwość niektóre twierdzenia, bynajmniej nie jesteśmy pewni, jak dalece mamy sprawę istotnie z założeniami p. Z. Herynga, o ile zaś tylko z własnemi wrażeniami.

Nie możemy się oprzeć przekonaniu, na co już zwróciliśmy uwagę w poprzednim artykule, że Z Heryng niewłaściwie rozpatruje cenę, jako pieniężne wyrażenie wartości, ulegające pewnym wpływom ze strony konjunktur rynkowych i rozchodzące się z nią przypadkowo. Tymczasem, o ile wartość mierzymy przez pracę społecznie niezbędną, obie wymienione kategorye naszem zdaniem nigdy nie mogą iść z sobą w parze: wartość jest wyrazem stosunku wysiłków wytwórcy bezpośredniego, ściślej mówiąc, pracującego fizycznie ogółu, do produktu społecznego, ceny zaś (powiedzenie nasze nie jest ścisłe, ale ma tą zaletę, iż wymownie charakteryzuje nasze stanowisko) tylko pieniężnem zrealizowaniem praw ze strony każdej grupy społecznej, przez ręce której wytwór przechodzi, zanim dostanie się do spożywców—praw do tej części produktu narodowego, który nazywamy wartością dodatkową. Stawiając kwestyę w sposób sobie właściwy, Z. Heryng wysuwa zanadto na przód indywidualistyczny, „towarowy" punkt widzenia, zamiast ogólnego, społecznego, kantor zasłania mu organizacyę narodowego podziału pracy. Takie zaś wplątanie się w sidła filozofii mieszczańskiej nie omieszkało wywrzeć wpływu.

„Układy gospodarcze wszelkich typów, bez względu na to, na czem polega właściwe ich zadanie, posiadają zawsze dążność, a *niemal zawsze* możność nabywania cudzych wytworów i usług poniżej, a sprzedawania ich powyżej ceny, odpowiadającej nakładowi energii. Różnica pomiędzy osiąganą ceną nabycia lub sprzedaży, a ceną, odpowiadającą nakładowi energii, stanowi najpoważniejsze i najogólniejsze źródło dochodu i wzrasta w miarę wzmagającej się zależności ekonomicznej" (str. 267).

Przy zaznaczonej dążności, „niemal zawsze" zaś możności, istniałaby na wszystkich szczeblach kupna-sprzedaży pewna sprzeczność, której nie umiem rozwikłać. Jeżeli nabywam coś poniżej nakładu energii, sprzedaję zaś powyżej, to ów ktoś, nabywający rzecz ode mnie, z konieczności nabywa już przedmiot powyżej istotnego nakładu. Teorya rozdziału produktu

społecznego, oparta na wartości jako nakładzie energii (tj. pracy), nie wytrzymuje takiego przypuszczenia. Gdzieś, na pewnym szczeblu stosunków wymiennych, wchodzi do sfery rynkowej towar, zwany siłą roboczą. Przemysłowiec nabywa ów towar — teoretycznie — według jej rzeczywistej wartości, tj. nakładu pracy, w nim tkwiącej; co więcej, w obecnym systemie produkcyi i wymiany, ów towar jest jedynym przedmiotem, dla którego cena jest jednocześnie pieniężnem wyrażeniem wartości. Przedsiębiorca produkujący spożywa siłę roboczą, która w procesie spożywania wytwarza nową wartość, równą wyłożonemu na produkt nakładowi pracy i stale przewyższającą koszta produkcyi. Przewyżka wytworzonej wartości nad kosztami produkcyi idzie do rozdziału społecznego. Ażeby każdy kapitał otrzymał właściwą stopę zysków — teoretycznie, ktoś dowiódł, iż produkty *pewnych* zawodów winny być stale sprzedawane po cenie przewyższającej wartość ich, tj. powyżej nakładu energii, inne po cenie niższej. Zanim dojdą do konsumenta, przechodzą one przez ręce pośredników, ale w ciągu całego swego obiegu jedne są zawsze sprzedawane powyżej wartości, inne poniżej. O ile i jak praktyka, pod działaniem konjunktur rynkowych, odchyla się od tego założenia teoretycznego, jest to rzecz inna, ale bądź co bądź w ostatecznym wyniku wszystkie te plusy i minusy, ściślej mówiąc, wszystkie zyski i zarobki osób „nieprodukcyjnych" winny dać ogólną sumę, równą wytworzonej nadwartości. Ten lub ów z pośród świata przemysłowego może faktycznie ten sam wytwór kupić poniżej i sprzedać powyżej nakładu, ale będzie to zdarzenie przypadkowe, wynikające z istnienia przyczyn podrzędnych i czasowych. Sprzeczność wskazana w książce Z. Herynga jest w związku, zdaje się — kładziemy nacisk na tą warunkowość — z całokształtem jego poglądów: pojmowaniem na równi zależności pomiędzy przedstawicielami siły roboczej a przemysłowcami, oraz pomiędzy fabrykantami a hurtownikami (uwaga na str. 267). Różnica jest tam jego zdaniem tylko ilościowa: w „napięciu," „trwałości," „oczywistości." Tymczasem z punktu produktu społecznego jest ona zasadnicza: pierwsza z powyżej wymienionych zależności stwarza wartość abstrakcyjną, uwydatniającą się jednak w wartości całego wytworu społecznego; druga zaś rozstrzyga tylko o podziale nadwartości społecznej i znajduje dla siebie wyraz w prawach, rządzących ukształtowaniem cen tego samego przedmiotu na różnych szczeblach obiegu towarowego.

I w innych miejscach Z. Heryng wypowiada twierdzenia natury pokrewnej. Usiłuje on poczynić pewne uzupełnienia, które „znakomicie rozszerzają" znaczenie pracy (energii kinetycznej), jako czynnika, stanowiącego o wartości (str. 257).

„1) Wartość, opartą na nakładzie energii, posiadają nietylko przedmioty materyalne, lecz i wszelkiego rodzaju usługi. Dotychczasowe odróżnianie czynności, modyfikujących formę i własności układów materyalnych (a więc czynności materyalizujących się niejako w wyrobach) od czynności nie zmateryalizowanych, lecz bezpośrednio użytecznych, nie ma wogóle *zasadniczego* znaczenia."

„2) Jednakowo doniosłe znaczenie ekonomiczne przyznane być winno wszystkim rodzajom pracy. Jeśli... za ekonomiczną uznać należy wszelką działalność, opartą na zasadzie minimalnych wysiłków, to niema podstawy dla wykluczania, z dziedziny ekonomicznej, pracy naukowej lub artystycznej, lub kierowniczej i wykonawczej działalności administracyjnej."

W pojmowaniu owej „zasadniczości" i „wykluczania" uwydatnia się cała różnica pomiędzy rozpatrywaniem zjawisk ekonomicznych z punktu rozdziału a, tak jak to robi p. Z. Heryng, ze stanowiska kupna-sprzedaży. Najgorsza rzecz, iż autor *Logiki ekonomii*, nie zadawszy sobie pytania o naturze różnic pomiędzy sobą a przytaczanymi w cytowanym ustępie autorami (z braku miejsca opuściliśmy ich nazwiska), zrobił im istotną krzywdę, bo myśl ich wypaczył zupełnie. Dla Rikarda np. lub Rodbertusa, doniosłe znaczenie ekonomiczne posiadają też administracya i inne czynności. Według tych ekonomistów — o ile rozumiem ich — wszelkie usługi posiadają wartość, wartość realną, tkwiącą w nakładzie pracy. Pod tym względem Z. Heryng nie powiedział nic nowego. Natomiast zamiast naprzód, cofnął teoryę wstecz — na stanowisko widnokręgów pojedynczych układów gospodarczych. Rikardowi w jego twierdzeniu chodziło o rzecz zgoła inną. Są czynności i „usługi" wartościotwórcze i inne, niestwarzające nowej wartości, choć mające własną wartość. Odliczywszy z wartości produktu społecznego materyał surowy, narzędzia, oraz część, użytą na wynagrodzenie siły roboczej, która wytworzyła ów produkt, otrzymamy pewną resztę, idącą do podziału pomiędzy inne grupy. Zgoła nie trzeba mniemać, ażeby w rozdziale tej reszty — nadwartości, jak zowią ją niektórzy ekonomiści angielscy już z pierwszej połowy wieku obecnego— uczestniczyli tylko kapitaliści. Z niej otrzymują wynagrodzenie — według swojej wartości — robotnicy fizyczni, zajęci przy funkcyonowaniu środków przewozowych, oraz inteligentni: kantorów, banków itd. Maszynista na kolei lub buchhalter w kantorze, lubo pracują ciężko, nie stwarzają ani źdźbła wartości dodatkowej, lecz przenoszą na inne miejsca już istniejącą. Z punktu gospodarstwa indywidualnego, koszta ich najmu niczem nie różnią się od pensyi parobka, wytwarzającego zboże, ale ze społecznego tylko ten ostatni stwarza wartość. Ceny, będące wyrazem rozdziału istniejącej w społeczeństwie nadwartości pomiędzy różnemi szczeblami życia gromadnego, muszą brać pod uwagę te koszta, właściwe różnym gospodarstwom, lecz wartość produktu przez nie zostaje nietknięta—fakt, świadczący o zasadniczem znaczeniu pewnych stanowisk. Odróżnianie wzajemne pewnych czynności i usług na materyalizujące się w towarze i nie zmateryalizowane dla pojedynczego układu gospodarczego jest bez znaczenia, bo wszystkie one figurują jako równoimienne pozycye w rubryce wydatków. Ale, o ile bierzemy pod uwagę wytwór ogólno-społeczny, oczywistość różnicy odrazu ujawnia się: od przewozu, administracyi, istnienia banków lub pedagogów, ilość produktu społecznego nie ulega zmianie i wszelkie te usługi winny otrzymać zapłatę swoją z tego, co pewne grupy wytworzyły pracą fizyczną. Z. Heryng może mieć inne pojęcie o tym przedmiocie, ale swoją drogą powinien każdemu oddać rzecz jego, tj. cudzych poglądów nie przedstawiać w świetle niewłaściwem. Zresztą nie chcemy przez to powiedzieć, iż robi to umyślnie. Raczej pewne poglądy w swojej istocie wewnętrznej pozostały dla niego zagadką, jak świadczy o tem poniżej przytoczony ustęp (str. 256).

„Przy wytwarzaniu najprostszego nawet wyrobu zużywają się różne formy rozmaicie ocenianej, mięśniowej i nerwowej, prostej i wykwalifikowanej pracy. Różnice te, wpływając na koszta produkcyi, wpływają tem samem na wartość jego i cenę. Z tych to względów sprowadzanie wartości produktu do samej tylko ilości zużytej przy jego produkcyi pracy, a tembardziej mierzenie wartości średnim czasem potrzebnym w danych technicznych warunkach do wytworzenia tego produktu, nietylko nie będzie ścisłem, lecz wprost nawet nie będzie odpowiadało rzeczywistemu przebiegowi zjawisk ekonomicznych."

W zarzucie tym ujawnia się znowu mieszanie wartości z ceną, oraz nieuwzględnienie pewnego „zasadniczego" stanowiska. Na cenę, jak wiemy, wpływają wszelkie koszta, choć nie wszystkie one są opłatą wysiłków, stwarzających nową wartość. Lecz jakąkolwiek bierzemy pracę z pośród zajęć wartościotwórczych, prostą, czy wykwalifikowaną, fizyczną lub nerwową, jakość *zawsze* bywa uwzględniana: godzina pracy „hauera" w górnictwie i małca przy nim zajętego równają się, przy sprowadzeniu na wspólny mianownik, odmiennym ilościom tej samej jednostki — pracy jako pracy. *Trades Uniony* angielskie w swojej tabeli zarobków wszystkie zajęcia w kopalniach wyraziły jako ułamki lub wielokrotne takiej jednej miary. I byłbym bardzo wdzięczny Z. Heryngowi, gdyby mi wskazał któregoś z wybitnych ekonomistów, któryby „sprowadzał wartość produktu do samej tylko ilości zużytej przy jego produkcyi pracy bez względu na jej jakość." Takiego dziwoląga nie spotkałem nawet u podrzędnych popularyzatorów.

Winniśmy jeszcze zatrzymać się nad jednym punktem, dotyczącym wartości. Zdaniem Z. Herynga, „praca, wbrew twierdzeniom dotychczasowym, ograniczającym sferę działania tego czynnika tylko surowym materyałem, z którego wyrabia się pewien produkt, oddaje zwiększoną wartość nietylko temu materyałowi surowemu, na który bezpośrednio bywa skierowaną. Takim materyałem surowym jest tu jednocześnie i otoczenie" (193). „Działanie energii kinetycznej między innemi podnosi wartość otoczenia, w którem się pewne roboty wykonywają... co wyrazi się w odpowiedniem podniesieniu cen gruntów" (str. 194). Wreszcie spotykamy zdanie: „podniesiona wartość gruntów staje się wyłącznem źródłem specyalnej formy dochodu, zwanej rentą gruntową" (str. 219).

Czy istotnie rzecz tak się ma, jak twierdzi autor *Logiki ekonomii*? Nie chcemy zatrzymywać się nad całością poglądów Z. Herynga co do renty, gdyż przyrzeka je rozwinąć dopiero w drugim tomie, ale swoją drogą tylko co przytoczone twierdzenie nie może pozostać bez rozbioru. Przeprowadzają przez pewną okolicę kolej żelazną, grunta podnoszą się tam w cenie. Z powyższego ustępu wynikałoby, iż zwyżka ta pochodzi z zakrzepnięcia w ziemi pewnej ilości energii kinetycznej. Stanowisko to przypomina sławne ongi założenia oraz argumenty Bastiata o wewnętrznej wartości ziemi. Naszem zdaniem, dzieje się inaczej. Nie podniesiona wartość gruntów jest źródłem specyalnej formy dochodu, ale przeciwnie zwyżka zysku, pobieranego z pewnej przestrzeni, jest przyczyną podniesionej wartości. Ceny gruntów wahają się według tych samych zasad, jakie rządzą zwyżką i zniżką akcyj. Papier, mający wartość nominalną 1,000 rs., podniesie się do 2,000 i wyżej, gdy dywidenda wzrośnie odpowiednio. Tak samo „wartość" gruntów jest tylko skapitalizowaną rentą. Postęp społeczny, wiążąc pewne okolice z innemi, usuwa ocenę produktu według miejscowych średnich kosztów produkcyi i zastosowywa skalę, wziętą z szerszego rynku. Pod tym wpływem dochód z pewnego gruntu wzrasta lub spada i nastaje jego kapitalizacya w większej lub mniejszej niż dawna cenie. Naturalnie cena gruntu może także podnieść się skutkiem istotnego nakładu pracy: dren, irygacyi itd. Ale Z. Heryngowi nie o takie wpływy chodzi. O wartości gruntów można byłoby mówić, gdyby glob był żywą istotą

i ocenił wysiłek własny, włożony w soki urodzajne pewnej gleby.

L. Krzywicki.

LITERATURA I SZTUKA.

Z NIEMIEC.

Berlin, 17 kwietnia.

Upadek teatru niemieckiego. — Wyzysk i zepsucie.

Często temu lub owemu sprawozdawcy teatralnemu wyrywa się z głębi piersi okrzyk skargi z powodu upadku teatru, jałowości jego literatury i szarzyzny sztuki dramatycznej w Niemczech. Te żale dusz artystycznych nie odzywają się echem w sercu publiczności, która nawykła do obecnego stanu rzeczy i nawet nie uskarża się na nudy. Mało wymagalni berlińczycy łatwo znoszą monotonię, tandetę i fuszerkę, jeśli mają możność zabawienia się podczas godzin przeznaczonych dla wywczasu i rozrywki. Krytycznemu obserwatorowi życia tutejszego łatwo jednak rzuca się w oczy skarłowacenie teatru. Już w r. 1870, gdy w całych Niemczech zapanowała wolność procederu, znalazły się złowieszcze kruki, które przepowiadały, iż rozciągnięcie swobody ekonomicznej na dziedzinę sztuki zaszkodzi teatrowi. Wróżby te sprawdziły się co do joty. Wprawdzie na razie wyrastały teatry wszędzie jak grzyby po deszczu. Każda mieścina niemiecka, licząca 20 tys. obywateli, posiada dziś swoją własną scenę, a niekiedy dwie, a nawet trzy. Przed r. 1870 Niemcy posiadały 170 teatrów; dziś Melpomenie, Talii i Terpsychorze wzniesiono świątyn w lepszym tego słowa znaczeniu aż 600. Podczas gdy przed r. 1870 na scenie występowało 5,000 artystów, dziś popisuje się na niej aż 15 tysięcy. Zwłaszcza po krachu r. 1873 rzucili się przemysłowcy na tę niewyzyskaną dotychczas żyłę złotodajną. Fabrykanci szuwaksu i perkalików, spekulanci giełdowi i rozmaite osobniki, rekrutujące się z szumowinów społecznych, jęły się gorliwie nowego „przemysłu," obrawszy sobie jako dewizę swej artystycznej działalności: *enrichissez vous.* Policya udzielała koncesyi zawsze i wszędzie, jeśli kandydat był w stanie faktycznie lub fikcyjnie dowieść, iż jest w posiadaniu potrzebnego funduszu. Doświadczenie nowych działaczów, zapożyczone z innych gałęzi industryalizmu, nakazywało im usunąć na bok wszelkie sentymenty i „przesądy," a zastosować praktykę przemysłową do tej dziedziny. Dyrektorzy teatrów wszczęli pomiędzy sobą bój konkurencyjny. Przedewszystkiem zniżono ceny we wszystkich prywatnych teatrach. Ażeby zwabić publiczność, dyrekcye rozsyłają do domu bezpłatnie bony, które upoważniają do rabatu przy kupnie biletów. Są teatry, które robią ustępstwa w razie większych „zakupów," z czego korzystają przeważnie handlarze biletowi i rozmaite stowarzyszenia. Niektóre rozdają na ulicy lub rozsyłają do domu bilety zupełnie bezpłatnie, aby nazajutrz módz ogłosić w pismach, iż salę „wypełniono po brzegi." Inni dyrektorzy, zadawalające się mniejszym zarobkiem, rozbijają swój warsztat w kilku punktach dla „zdobycia rynku." Są nawet przybytki, które robią interes na tem, iż dostarczają rozgłosu „literatom" spragnionym sławy. W Berlinie jeden teatr trudni się tym procederem. Niedawno wykryto, iż jakiś bogacz wiedeński, cierpiący na grafomanię, kupił za 10 tys. m. prawo wystawienia swej nieudolnej roboty dramatycznej wraz z odpowiedniemi oznakami powodzenia, jak: natłok publiczności, oklaski, wieńce, pochlebne recenzye itd. Najnaganniejszym chyba środkiem współzawodnictwa jest dogadzanie poziomym instynktom publiczności. Metodą tą posługują się niektórzy przemysłowcy, starając się nadać swemu zakładowi charakter teatru ogródkowego. W rozpanoszeniu się przybytków podkasanej, rozpustnej i cynicznej muzy należy szukać jednej z przyczyn upadku teatru niemieckiego. Scen z nieco poważnym charakterem posiada Berlin 20, instytucyj hołdujących swawolnej wesołości liczy przeszło 60. Przed r. 1870 przy starym systemie koncesyi istniał niewzruszony mur graniczny między temi dwiema sferami. Dzisiaj przedstawiają one tylko rozmaite ogniska rozluźnienia moralnego. Z początku niektóre teatry zaprowadziły u siebie pozwolenie palenia (Rauchtheater); gdy z rozwojem komunikacyi miejskiej publiczność latem zaczęła wyjeżdżać za miasto, urządzono przy niektórych teatrach ogródki, gdzie z czasem tolerowano zwyczaj opróżniania kufli podczas przedstawień, niespostrzeżenie na posterunku kelnerów stanęła płeć nadobna itd. Policya wprawdzie kontroluje instytucye, w których cel artystyczny pozostaje na uboczu, a natomiast jawniej występują intencye wątpliwej natury i wytworzyła nawet klasyfikacyę, odróżniającą 5 grup. Nadzór musi jednak osłabnąć wobec tego, iż zakłady te otrzymują prawo obywatelstwa w oczach publiczności. Z powodu stuletniego jubileuszu urodzin Wilhelma I w dwu pierwszorzędnych berlińskich tingel-tanglach urządzono „matinées," na które stawiła się tutejsza arystokracya rodowa i pieniężna. Prowincya wstępuje w ślady stolicy. Od czasu do czasu tylko matrony z zaścianków, które nadsyłają co rok protesty do Reichstagu przeciwko szerzeniu prostytucyi, wypowiadają wojnę tingel-tanglom, gdzie mężowie ich spędzają tyle pięknych chwil. Tak np. obecnie cała prowincya powstała przeciwko pięciu siostrom Barrison (przez dwa *r*, gdyż jest tu pięć takich samych siostr przez jedno *r*), które czarowały młodzież przez kilka lat z rzędu. Pomimo iż co parę miesięcy jedna z siostr znikała z pola „sztuki" w towarzystwie jakiegoś syna Marsa, komplet pozostawał pełnym. Obecnie młodzież tutejsza studyuje gorliwie estetyczną rozprawę o sztuce tych siostr, napisaną przez księcia d'Akbecqa. Pismo tutejszych artystów tingel-tanglów, p. t. *Artist*, zdemaskowało rozmaite fortele Barrisonówek, a prowincya zdjęta oburzeniem bojkotuje miłe te dziewczynki. Grono bezzębnych starców berlińskich i siostr Armii Zbawienia wystąpiło z petycyą do policyi, aby przed ladacznicami zamknięto podwoje świętych przybytków sztuki. Zauważę jeszcze, iż wszelkie „budy nikotynowe," café chantants itd., aby podważyć wpływ teatrów, dają u siebie przedstawienia dramatyczne. Obecnie nadchodzą z prowincyi wiadomości, iż coraz inny teatr odstępuje swą placówkę tingeltanglowi. Pomiędzy wabikami, na których lep leci publiczność, wybitne miejsce zajmuje system premier, czyli — jak nazywają Niemcy — *Premièren-Unfug.* Pierwsze przedstawienie sztuki jest zawsze wypadkiem sensacyjnym i budzące zaciekawienie publiczności, napełnia salę. Tem sobie można wytłómaczyć, iż obecny sezon obfitował w przeszło sto premier, a dał zaledwie trzy lub cztery sztuki, zasługujące na szczegółową wzmiankę (utwory Hauptmana, Fuldy, Schnitzlera i Ibsena). W lepszych teatrach, gdzie ceny są wygórowane, premiery pozostają monopolem bogatej kliki, niezmiennej w swym składzie. Ona za swe pieniądze sądzi utwory i dyktuje prawa dyrekcyi. Premiera jest polem popisu dla recenzentów, obowiązanych natychmiast po przedstawieniu dać redakcyi krytykę, pisywaną nieraz na kolanie w bufecie teatralnym. Oczywiście sprawozdanie jest odgłosem światłej opinii publiczności premierowej. Pisma berlińskie, rozchodzące się po całych Niemczech, roznoszą te gruntowne sądy estetyczne wyroczni gazeciarskich po najodleglejszych zakątkach państwa i w razie uznania torują wszędzie drogę dla nowej sztuki. Partykularz z wielką czołobitnością wysłuchuje wyroku gazet stołecznych, a dyrektorzy również chylą czoło przed tą powagą. Urok stolicy wyzyskują oni jeszcze w inny sposób, a mianowicie sprowadzają od czasu do czasu gwiazdy berlińskie na widnokrąg prowincyonalny. Debiut znakomitości jest zawsze okresem przypływu, a nawet powodzi dla kasy. Aktorzy zwykle korzystają z tej okazyi, aby uszczęśliwić swymi występami większy obszar prowincyonalny. Rozgałęziony rozwój komunikacyjny ułatwia im to zadanie. Zawitawszy z rana w mury miasta, gdzie wieczorem występują, odrabiają oni w największym pośpiechu swą robotę, tak aby zdążyć na pociąg, odchodzący do innego miasta, gdzie afisze zapowiadają na dzień jutrzejszy coś innego. Publiczność, dyrektor i cała trupa wyczekują niespokojnie przybycia gwiazdy. Artysta przyjeżdża w sam raz na próbę, po której zdąży zaledwie zjeść obiad i wypocząć trochę, aby wieczorem ukazać się przed publicznością, która napłynęła tłumnie do teatru, pomimo podwyższonych cen i „abonnement suspendu." W ten sposób wędruje znakomitość sceniczna z miasta do miasta, pracując ciągle w pośpiechu i zdenerwowaniu. Oszczędność i chęć sprowadzania kosztów do minimum nakazują dyrektorowi zapychać dziury w obsadzie ról, o ile się da początkującymi i bezpretensyonalnymi nowicyuszami. W tych teatrach berlińskich, które wystawiają obok dramatów opery, chórzystkom dostają się drugorzędne role w komedyach, a nawet tragedyach! Łatwo się domyśleć, iż ten zalew teatrów przez siły młode sprowadza zniżenie poziomu zarobkowego. Produkcya teatralna dzisiejsza w Niemczech pomaga pewnej armii rezerwowej. Prowincyonalni dyrektorzy bowiem, dbając o łaskę publiczności i troszcząc się o urozmaicenie, zmieniają co sezon skład swego personelu. Na początku każdej kampanii dyrektor zwraca się do agenta, żeby nadesłał do rozmaitych ról kandydatów i to zwykle po kilka egzemplarzy każdej kategoryi. Po pierwszym próbnym miesiącu połowa świeżego transportu, przepuszczonego przez rzeszoto krytyki i opinii publicznej, odchodzi z kwitkiem. To też aktorzy domagają się zniesienia tego bezprawia, dyrektorzy zaś tłómaczą się tem, iż równouprawnienie doprowadziłoby teatry do bankructwa, gdyż gwiazda sceniczna co miesiąc żądałaby podwyższenia płacy lub też porzucała teatr, oddając go na pastwę niełaski publiczności. Oprócz tego obarczają oni aktorów karami, ściąganemi z byle powodu. Prawne upośledzenie aktora pcha go w objęcia agenta. Żyjąc w ciągłem niebezpieczeństwie znalezienia się pewnego pięknego poranku na bruku, musi on oddać się pod opiekę dostawców żywego towaru teatralnego. Ci zaś wyzyskują tę smutną okoliczność. Każdy przeciętny aktor w Niemczech opłaca dożywotnią kontrybucyę miesięczną agentowi, gdyż każdej chwili może być zmuszonym uciec się do jego pomocy. Płacą nawet ci, co otrzymali posadę bez pośrednictwa faktora. Wpływ agentów jest tem większy, że zwykle redagują oni pisma teatralne, czytywane przez dyrektorów. Niepochlebna odezwa w takim organie może zwichnąć karyerę biednemu aktorowi. Rzecz zbyteczna dodawać, iż taki agent jest w stosunkach ze wszystkiemi dyrekcyami. Niemieccy artyści, znajdując się

pomiędzy dwoma ogniami, utworzyli wielkie stowarzyszenie, rozporządzające 5-milionowym funduszem. Od 1882—1895 r. wypłaciło ono $1\frac{1}{2}$ mil. marek tytułem pensyi inwalidom teatralnym. Dyrekcye teatrów połączyły się w „Związek sceniczny,“ którego celem jest prześladować artystów, zrywających kontrakty przed terminem.

Chciałbym tu jeszcze w kilku słowach podkreślić rozpaczliwy stan niemieckiej aktorki w obecnem położeniu rzeczy. Do kobiety, która wstępuje na służbę u muz, można zastosować dantejskie: *Lasciate ogni speranza.* Statuty teatralne w całych Niemczech orzekają, iż artystka jest obowiązana w kostiumach swych stosować się do wymagań reżysera i nabywać ubiory odpowiednie na własny koszt. Mężczyzn zaopatruje w garderobę zarząd, jakkolwiek pobierają pensyę znacznie większą od koleżanek. Te muszą posiadać kostiumy wszelkiego rodzaju. Mające bogatszych mecenasów — a „Schatz'a“ posiada każda — dostają od nich do każdej sztuki osobną suknię i w ten sposób potęgują wybredność publiczności i dyrektorów. Artystka, która nie chce zejść na bezdroża i frymarczyć swem ciałem, jeśli nie ma powodzenia, będzie zmuszoną zrzec się swej karyery; gdy zaś cieszy się łaską publiczności, będzie żyła w największej nędzy. Niektóre tutejsze teatry bez ceremonii żądają od poszukujących posady kandydatek przedewszystkiem wymienienia swego repertuaru... kostiumowego.

H. F.

O PRAWDĘ.

W obronie energetyki.

Uwagi p. L. Krzywickiego o fizyce i metafizyce, umieszczone w nr. 14 *Prawdy*, skłaniają mnie do zabrania głosu w tej sprawie, a to z następujących powodów:

1) Pojęcia, głoszone przez p. Krzywickiego, są mojem zdaniem nietylko niezgodne z duchem fizyki współczesnej, nietylko przeczy im na każdym kroku dobrze wykonane i umiejętnie objaśnione doświadczenie, ale co więcej — są one niezgodne z duchem nauki wogóle.

2) Jako takie mogą opóźnić i tak już bardzo opóźnione w naszem społeczeństwie przyswojenie pojęcia energii*), tak nieskończenie ważne nietylko w naukowym, lecz i w praktycznym rozwoju społeczeństw.

Powody te są dość ważne, żeby uwzględniając je poświęcić parę słów sprawie energii w piśmie ogólno-naukowem, niezajmującem się specyalnie ani fizyką, ani metafizyką, gdyż między czytelnikami znaleźć się mogą i niewątpliwie znajdą i tacy, którzy uległszy poglądom p. Krzywickiego, zniechęcą się do poznania energetyki i przez to staną się następnie w życiu tym najgorszym, bo pozorami wykształcenia zbrojnym hamulcem postępu.

Prócz tego — nie wiem, przypadkowo, czy też umyślnie — p. Krzywicki w uwagach swych o fizyce i metafizyce potraktował w sposób dość pogardliwy wyrażenie użyte przeze mnie z całą rozwagą i po wieloletnim namyśle na jednym z mych odczytów publicznych. Chociaż czyni to nie cytując mego nazwiska, niemniej przeto przyznaję się do tego wyrażenia, wierność cytaty stwierdzam i obronę myśli w niem zawartej, oraz formy, w jakiej ją wyraziłem, chętnie podejmuję. Postaram się, aby ta osobista moja sprawa w uwagach niniejszych zabrała o tyle tylko miejsce, o ile to okaże się korzystnem do wyjaśnienia sprawy energetyki.

Prócz tego motywu osobistego, mam jeszcze i inny, równie osobisty i bardzo dla mnie pochlebny. Oto p. Zygmunt Heryng, którego pomysły ekonomiczne były powodem wystąpienia p. L. Krzywickiego, po przygotowaniu do druku swej pracy informował się i u mnie o przyrodniczem znaczeniu energii. Od czterech lub pięciu lat rozbieraliśmy to pojęcie wspólnie w niezliczonych rozmowach, staraliśmy się wyrozumieć nietylko jego matematyczno-mechaniczne znaczenie, ale i znaczenie jego w ogólnej teoryi poznania, doszliśmy w tym przedmiocie do zupełnej harmonii poglądów, czuję się więc poniekąd odpowiedzialnym osobiście za błędy w traktowaniu energii przez p. Zygmunta Heryngа wrzekomo popełniane przy traktowaniu i popularyzowaniu energii w jej przyrodniczem znaczeniu.

* * *

Oczyściwszy artykuł p. L. Krzywickiego z ironicznych wycieczek, które sprawy nie wyjaśniają, a często ją mącą, starałem się *bona fide* wniknąć w zamiary autora i zdać sobie dokładną sprawę z tego, o co mu chodzi. Wedle mojego rozumienia rzeczy pracę p. L. Krzywickiego można sprowadzić do następujących twierdzeń:

1) Specyaliści fizycy źle robią, że dostrzeżone przez siebie zależności starają się uogólniać. Uogólnianie nie do nich należy, nie jest ich specyalnością. Nie umieją oni odróżniać hypotez dozwolonych od niedopuszczalnych. Dawniej było lepiej, gdy „przedstawiciele czystej nauki nie filozowali, ale pracowali,“ gdyż nie wprowadzali nieuctwa do filozofii.

2) Filozofia czystego doświadczenia zna tylko poruszające się masy. Pojąć otaczającą przyrodę — to znaczy zrozumieć prawa ruchu, oraz nasz podmiotowy stosunek do tego objawu Kto bada ruch — ten dobrze zasługuje się sprawie poznania, ale

3) kto atrybuty tego ruchu (jego „kategorye pochodne“ — jak się wyraża p. L. Krzywicki) jak *siła*, *praca*, *ilość ruchu* (pęd) chce abstrachować od zjawiska ruchu, ten błądzi i to błądzi jak żak, bo nie rozumie nawet tego prostego faktu, że *siła* nie istnieje, nie ma samodzielnego bytu, że jest prostem wyrażeniem matematycznem, poprostu funkcyą dwóch zmiennych niezależnych: masy i przyśpieszenia *).

4) Tak samo błądzą ci, którzy energię (pracę) uważają za jakiś byt (angielskie: entity). Są to tak ciemni ludzie, że nawet od Goethowskiego Mefistofelesa nie nauczyli się popularnej zwrotki, że tam, gdzie brak pojęć, ludziska starają się wyrazem obałamucić własną nieudolność.

Otóż *ad 1-um* pozwolę sobie zaznaczyć, że sprawy mają się wręcz przeciwnie, gdyż specyaliści fizycy wnieśli do filozofii niezmiernie wiele. Dość świadectw przytacza Ueberweg, jeszcze więcej przytacza Lange, traktując czasy po-Kantowskie. Wogóle pod tym względem, co komuś jest dozwolonem, a co wzbronionem można dziś być zupełnie liberalnym i zaiste dziwnym byłby zakaz filozofowania względem tej lub owej kategoryi społecznej. Chodzi tylko o jedno — o to żeby filozofować z pewnem prawdopodobieństwem powodzenia, a to prawdopodobieństwo przysługuje zarówno każdemu, tak filologowi, jak matematykowi lub fizykowi. W Niemczech zresztą każdy specyalista fizyk, o ile uzyskał stopień doktora, zdawał egzamin i z historyi filozofii (Ueberweg), a nadto i system cały jednego z głośniejszych filozofów wystudyować musiał. Z formalnej więc strony (chociaż ta dla mnie osobiście nic nie stanowi) nie można go z góry poczytywać za nieuprawnionego do ekstrapolowania dostrzeżonych w pracowni faktów, a wszak każde takie ekstrapolowanie już można nazwać metafizyką.

I dziś — gdy więcej się zważa na to, *co* mówią, niż na to, *kto* mówi, pragnienie p. Krzywickiego zachowania całej dziedziny filozofii dla tej lub owej grupy ludzi zdaje mi się być dziwnie zacofanem, dziwnie niezgodnem z duchem czasu i stoi w zupełnej sprzeczności z tem, czego mnie uczyli w tej samej szkole, w której i p. Krzywicki się kształcił. „Gdzie nie masz uogólnień, gdzie nie masz wniosków ogarniających całe masy faktów — tam nie masz nauki“ — powtarzał nam zawsze prof. Wrześniowski przy wykładzie zoologii, i prof. Ganin przy wykładzie anatomii porównawczej i histologii, obaj badacze poważni i na stanowisku swem dzielnie pracujący. Lecz nie chcę tutaj powagą autorów lub profesorów zwalczać p. Krzywickiego. Metoda taka nie jest mi sympatyczną. Wszak prosty zdrowy rozum nie pozwala zabraniać filozofowania temu lub owemu dlatego, że on się zajmuje fizyką lub techniką. Wszak trafne uogólnienie może się zrodzić tak samo w głowie artylerzysty, jak i filozofa z profesyi, a przykładów w tym kierunku nauka daje nam moc wielką. Zdanie p. Krzywickiego: „Przedstawiciele nauki ścisłej nie filozofowali, a pracowali“ — radbym poczytać za *lapsus calami*, gdyż dawniej, jak i dzisiaj znajdujemy takich specyalistów, którzy filozofują, i takich, dla których filozofowanie jest obojętnem, a nadto filozofowanie jest tak samo pracą, jak każda inna, i jeśli tylko jest owocnem i słusznem, to nielada wysiłków wymaga. Przeciwstawienie więc, dane przez p. Krzywickiego, jest zupełnie niewłaściwem w zasadzie, a błędnem historycznie.

Ad 2-um i *ad 3-um* Uważać badanie ruchu za niezbędne i korzystne dla teoryi poznania, a jednocześnie nie pozwalać ani sobie, ani drugim na ześrodkowywanie uwagi na atrybutach ruchu, jest to być z sobą samym w sprzeczności. Wprowadzenie i uściślenie pojęcia siły (2-ie prawo Newtona *) dało nam całą fizykę Newtonowską, pozwoliło rozwiązać tysiące pytań praktycznych, zaostrzyło umysł do najzawilszych zadań, dało w naturalnym rozwoju zasadę d'Alemberta i pozwala dziś pisać rzeczy tak głębokie, jak Macha dzieła mechaniczne, a czy owemu pojęciu siły jeden lub drugi mniej udolny umysł nadawał lub nadaje znaczenie konkretne, to praktycznie rzeczy biorąc jest sprawą drugorzędną. Dla nauki i jej rozwoju ważnem jest to, że wprowadzenie do nauki pojęć prędkości, przyśpieszenia, siły, momentu, pędu, prędkości kątowej, momentu bezwładności, pracy itd. daje nam w ręce metody badania, rozjaśniania i upraszczania zasad. Abstrakcye te będą miały dopóty prawo obywatelstwa w nauce, dopóki ludzie badać będą zjawiska ruchu. Każda taka abstrakcya dobrze pomyślana, jest orężem w poznawaniu prawdy, jest środkiem rozwiązywania zadań, co więcej daje możność stawiania nowych pytań. Że ten lub ów niedołężny umysł abstrakcyom tym przypisze byt przedmiotowy, samodzielny, to ich znaczenia naukowego, a więc i poznawczego wcale nie zmiejsza, więc też bagatelizować tych pojęć (abstrakcyjnych) nie można i nie godzi się.

Ad 4-um. Czwarty (wedle mego streszczenia) postulat p. Krzywickiego mieści w sobie największy, najszkodliwszy błąd. Nie pozwala on pojęciu *energii* przypisywać samodzielnego bytu, równa energię w znaczeniu filozoficznem z pojęciami takiemi, jak siła, prędkość, pęd itd. Otoż pod tym względem należy się porozumieć.

Dziś nie możemy już, jak dawniej, kierować się własnem upodobaniem, własnem „widzi mi się“ w przypisywaniu samodzielnego bytu jednym abstrakcyom i w odmawianiu go innym. Osobiste, podmiotowe poczucie nie może tu decydować — trzeba postawić jakiś zasadnik, jakąś cechę *bytu* i badać, czy w danej abstrakcyi cecha ta tkwi, czy też jej w niej niema. Najlepsze ze znanych mi umysłów za niezbędne i wystarczająco cechy *bytu* uważają niezniszczalność i niestwarzalność. Złoto jest, złoto istnieje, bo złota nikt nie stworzy, ani nikt go zniszczyć nie może. Tak samo każdy pierwiastek chemiczny, tak samo wszystko to, co nazywamy materyą.

*) Do dziś są u nas niestety i książki i wykłady fizyki, w których nie wspomina się wcale o energii, a co gorsza, mąci się jej pojęcie mieszaniem go z siłą — ilością ruchu itd.

*) Dlaczego nie trzech: masy, długości i czasu? Dlaczego p. L. K. z przyśpieszenia robi zmienną niezależną — tego zrozumieć nie mogę, gdy chodzi o ogólne kwestye poznania. Specyalność tego zarzutu — niezmiernie poważnego, jest jasnym dowodem, jak niewłaściwem polem do rozbioru tego rodzaju kwestyi są pisma ogólno-naukowe. Co więcej, nadając masie specyalnie pierwotne znaczenie, p. Krzywicki stoi na gruncie daleko mniej filozoficznym, niż nawet szkolarska fizyka, w której pierwotne znaczenie możemy nadać czemu nam się podoba, wtedy masa będzie pojęciem złożonem, jak to się robi stale w akademickiej astronomii, w której tylko długość i czas, *omnibus notissima* wedle Newtona, są pojęciami pierwotnemi, a masa jest już pojęciem z dwóch pierwszych złożonem. Fizycznie — teorya jednostek, matematycznie — zamiana funkcyj pozbawiają zupełnie wszelkiej racyi cały odnośny ustęp w pracy p. Krzywickiego.

*) *Quantitas motus proportionalem esse...* itd.

O ile tego rodzaju pogląd ustalił się, jak silne na Zachodzie zapuścił korzenie w umysłach ludzkich, za dowód posłużyć może ten fakt, że nawet w pismach popularno-naukowych istnienie czegoś uważa się już stanowczo za równoznaczne z niezniszczalnością.

Zasada niezniszczalności stosuje się do energii (pracy), nie stosuje się zaś do żadnego innego atrybutu materyi będącej w ruchu lub napięciu i z tego względu *nie wolno* stawić w jednym szeregu pracy i ilości ruchu (pędu), oraz siły, jak to czyni p. Krzywicki, bo do dwóch ostatnich prawo zachowania nie stosuje się.

Tak się rzecz przedstawia ze strony faktycznej. Ze strony formalnej możnaby tu przytoczyć p. Krzywickiemu stare rozumowanie Kanta, który słuszną czyni uwagę, że czasownik *być* jest zawsze tylko łącznikiem, nigdy orzeczeniem, że więc mówiąc: koń jest, koń istnieje — wcale nie rozszerzamy pojęcia konia, jak to ma miejsce wtedy, gdy mówimy koń skacze, leży, biegnie itd. Więc też spierać się, czy coś istnieje, czy nie — jest bezowocnym trudem (Kant).

Przytoczywszy w cudzysłowie cały obszerny ustęp o przekształceniach energii, p. Krzywicki rozumowania podobne nazywa „grą wyrazów." Szkoda, że tak błędny pogląd pragnie p. K. narzucić czytelnikom, trudno bowiem nazywać grą wyrazów uogólnienia, streszczające w sobie masę całą ilościowych doświadczeń. A cały ustęp przytoczony, równie jak i inny, ułożony przez p. Krzywickiego w myśl postulatów energetyki, jest wnioskiem z olbrzymiej liczby ilościowych badań doświadczalnych. Z jakiej racyi te rzeczy wyśmiewać i równać z teogonią panteistyczną — tego doprawdy pojąć nie mogę.

W całej tej masie nieporozumień, jaką p. Krzywicki ogłosił w *Prawdzie*, jest także między innemi zapewnienie, że energia pojmowana, jak ją pojmują fizycy, płata liczne psoty. Gołosłownie takich zapewnień nie można głosić, prosimy więc p. K., aby przytoczył choć jeden przykład tych psot, w których pojmowanie należyte energii wprowadziło nas na bezdroża. My bowiem wiemy tylko o jednem, że pojęciu energii zawdzięczamy zarówno naukowy, jak i techniczny postęp w wysokiej mierze, a gdzie są owe „liczne psoty" — nie wiemy.

Co się tycze wyrażenia mego, że podnosząc kamień do góry „przelewamy" nań energię naszych mięśni, jest ono co do formy zupełnie poprawne; wszak mówi się o przelewaniu władzy, o przelewie prawa własności, kredytu, o przepływie ciepła, elektryczności, o przepływie magnetyzmu, a tylko naiwny może sobie przytem wyobrażać akt przelewu, jako akt, do którego konieczne są dwie szklanki, z zawartą w jednej cieczą. Tyle co do formy. Co do treści także słuszność jest za mną: istotnie energia mięśni o tyle ilościowo zmniejsza się, o ile energia kamienia ilościowo powiększa się. O co więc chodzi p. Krzywickiemu?

A teraz wypada sprawę zakończyć. Otóż kończę uwagą, że można zwalczać energetykę, że każdy — komu postęp jest drogi — powita z uznaniem usiłowania w tym kierunku, lecz chcąc ją zwalczać, trzeba to zrobić inaczej, niż zrobił p. Krzywicki. Zdaje mi się, że dwie drogi tylko mogłyby prowadzić do obalenia zasad energetyki: 1) doświadczenie, obalające zasadę niezniszczalności energii, wykonane w sposób niewątpliwy i 2) rachunek, w którym, wychodząc z niezbitych doświadczalnie założeń, doszlibyśmy do obalenia zasady niezniszczalności. Zrobić jedno lub drugie — byłoby pracą, z którą trzeba byłoby się liczyć, któraby mogła wywołać przewrót w pojęciach na świat, lecz postępując inaczej — obniżamy tylko godność tak wspaniałej nauki, jak filozofia i usprawiedliwiamy to pogardliwie żartobliwe określenie, które głosi, że „filozofia jest systematycznem nadużywaniem specyalnie w tym celu utworzonej nomenklatury."

J. J. Boguski.

W DALI

Łódź. Budowa tramwajów rozpocznie się za parę tygodni. Przybył z Berlina inżenier Towarzystwa „Allgemeine Electricitäts-Gesellschaft," p. Witkowski, i przywiózł plany, tudzież kosztorysy projektowanych tramwajów elektrycznych. — Zatwierdzono plan rzeźni miejskiej. Gmach parterowy o dwudziestu kilku oddziałach stanie na skraju zachodniej części miasta. Koszty budowy obliczono na 787,109 rs.

Radom. Czytelnia bezpłatna rozwija się ciągle i zyskuje coraz większe powodzenie. D. 1-go stycznia r. b. posiadała 3,361 tomów dzieł polskich i 410 tomów rosyjskich. W r. z. była otwarta 193 razy i wydała 11,412 tomów. Na jednego czytelnika wypadło przeciętnie po 26 tomów w ciągu roku. Największą poczytnością odznacza się literatura powieściowa i poetycka (77%), roczniki pism peryodycznych (9%), książki dla młodzieży (7%), dzieła popularno-naukowe (6%) i moralno-religijne (1%). W d. 1 stycznia r. b. czytelnia liczyła 435 uczestników, a w tej liczbie 257 mężczyzn, 100 kobiet i 78 małoletnich. Czytelnikami są przeważnie rzemieślnicy, następnie kupcy, urzędnicy, oficyaliści prywatni, emeryci itd. W liczbie ogólnej znajduje się 60 Żydów. W r. z. czytelnia miała 551 rs. dochodu, wydała zaś na zakup nowych książek itd. 368 rs., na r. b. pozostało 283 rs. Czytelnia czerpie dochody z widowisk amatorskich, oraz z wpisowego od czytelników, z kar za przetrzymywanie książek i z ofiar dobrowolnych. Wpisowe wynosi 20 kop. — W Radomiu rozpocznie się wkrótce budowa hali targowej, w której urządzone będą: kanalizacya i wodociągi, stoły marmurowe, podłoga betonowa itd. — Zarząd pocztowo-telegraficzny postanowił zaprowadzić w mieście telefony.

Petersburg. Z powodu śmierci generała kawaleryi, Orżewskiego, *Ruś* stawia zapytanie, „w jakim stopniu koniecznem jest na kresach władza wzmocniona? Czy istotnie potrzebna tam władza cywilna tak silna, jak ta, która się skupia w ręku generał-gubernatora? Jest to władza jednej osoby, nieograniczona żadną instytucyą kolegialną. Tego rodzaju zwiększona władza cywilna istnieje u nas na pograniczach zachodniem i wschodniem i na Kaukazie. Czy wszakże wszystkie te pogranicza są w jednakowych warunkach? Czy należy niemi rządzić jednakowo? „Nasze posiadłości azyatyckie i Kaukaz są krajami, w których życie kulturalne nie wszędzie możliwe, gdzie miejscami „obyczaje są tak surowe," że zabójstwo jest uważane za rzecz najzwyklejszą, gdzie istnieją kantory najmu zabójców itp." Dla rządzenia takim krajem, zdaniem *Rusi*, niezbędne jest wzmocnienie skupienia władzy cywilnej. „Ale czyż to potrzebne na pograniczu zachodniem, stanowiącem zupełnie uspokojone i ucywilizowane część naszej ojczyzny? Pod względem wojskowym pogranicza te wymagają, naturalnie, szczególnej ochrony, ale pod względem cywilnym specyalne środki ochrony pierwiastku rosyjskiego na pograniczach zachodnich są zbyteczne." *Now. Wr.* z tego samego powodu pisze: „Chwila obecna jest taką, iż teraz właśnie dla organicznego zespolenia kresów północno-zachodnich z resztą Rosyi można zrobić więcej, niż to kiedykolwiek było możliwem. Z Wilna to uśmierzaliśmy Polaków litewskich, to znów rozradowywaliśmy ich grzebaniem interesów rosyjskich, rosyjskiemi rękoma, jak to było przy Potapowie, do którego całej polityki zresztą dawało się zastosować znane orzeczenie *cherchez la femme!*" Czyż nie czas nareszcie, zapomniawszy zarówno o uśmierzeniach, jak i o chwilowych „facecyach," zaprowadzić taki ład, przy którym w kraju ani państwowość rosyjska, ani interesy włościan białoruskich i rosyjskich, ani inteligencya pochodzenia polskiego i wyznania rzymsko-katolickiego zarówno nie mogłyby się uważać za pominięte przez prawo, dla wszystkich jednakowe, jasne i stałe? Wielkiem i trudnem tu jest zadanie utrzymania równowagi między przychodem pożytku państwowego, a rozchodem zaufania państwowego, ale też, w razie powodzenia, rezultaty będą wielkie."

Moskwa. Zjazd aktorski uchwalił w sprawie opery: Przyznając, że do rozkwitu tego działu sztuki może się przyczynić każdy talent, odpowiednio rozwinięty, bez różnicy narodowości i wyznania, zjazd uważa, iż 1) opery powinny być wykonywane w czystym języku literackim; 2) wykonywanie ich przez solistów w dwu lub kilku językach stanowczo ujemnie działa na wrażenie artystyczne. — W Moskwie powstało Towarzystwo pomocy dla kobiet uczących się.

DONIESIENIA URZĘDOWE.

Prawit. Wiest. ogłosił następujący Najwyższy Rozkaz: „Smutne wypadki, które poruszyły zachodnie kresy w r. 1863, spowodowały w rzędzie innych środków rządowych także ustanowienie specyalnego podatku procentowego z majątków nieruchomych, należących do osób polskiego pochodzenia. W ciągu minionych od tego czasu trzydziestu lat, przestrzegając niezmiennie ogólnych zasad, mających przyczynić się do zjednoczenia gubernij zachodnich z innemi miejscowościami państwa, w Bogu spoczywający Samowładcy Rosyjscy pragnęli łaską swoją stopniowo wymazywać z pamięci narodu ślady owych czynów przestępnych, które doprowadziły ludność polską do naruszenia powinności wierno-poddańczej. Postępując śladami minionych panowań i starając się niezmiennie o ugruntowanie w kraju zachodnim państwowości rosyjskiej, My — w staraniach Naszych o wprowadzanie łask w rządach — Uznaliśmy za właściwe znieść ustanowiony w r. 1863 podatek procentowy od majątków, należących do osób polskiego pochodzenia, ufając, że ten nowy dowód Monarszej życzliwości silniej pobudzi polskich właścicieli ziemskich do pokojowej działalności około rozwoju swojego dobrobytu pod opieką rosyjskiego panowania. Wskutek tego Rozkazujemy: pobierany w majątkach nieruchomych osób polskiego pochodzenia w dziewięciu zachodnich guberniach w latach kary specyalny podatek procentowy znieść z d. 1 stycznia 1897 r."

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. W Królestwie Polskiem straż ziemska pozostawała pod opieką bardzo surowych praw wyjątkowych, broniących jej przed obrazą ze strony mieszkańców. Obecnie poruszono projekt zniesienia tych praw i zrównania straży ziemskiej z innymi organami policyi. (*Warsz. Dn.*).

— D. 27 b. m. otwarty będzie w Warszawie drugi przytułek gminy żydowskiej, przeznaczony dla dzieci w wieku lat 3—5, rodziców ubogich, zajętych zarobkowaniem na mieście. Lokal przy ul. Sosnowej nr. 13.

— *Kuryer Warsz.* wykrył na Starem Mieście w Warszawie szulernie w kawiarniach nocno-dziennych. Ofiarami tych nor najczęściej padają kelnerzy.

— Towarzystwo wzajemnej pomocy pracowników handlowych i przemysłowych m. Warszawy z d. 1 stycznia r. b. liczyło członków honorowych 5, protektorów 291, rzeczywistych 1,608. Kapitałów instytucya posiada 42,245 rs 96 kop. Fundusz obrotowy (wartość ruchomości, biblioteki, składki zaległe) rs. 3,558 k. 23, razem rs. 45,804 k. 19. Zaofiarowań na posady w ciągu roku było 340, umieszczono przez wydziały tylko 150 kandydatów. W liczbie zaofiarowań było 16 posad dla kobiet; umieszczono tylko 4. Kandydatek zgłosiło się 25. Mała liczba kandydatów umieszczonych pochodzi z braku pracowników odpowiednich, szczególnie w działach bławatnym i żelaznym.

— Po ustąpieniu p. Białeckiego, dotychczasowego opiekuna-administratora zapisu hr. Kickiego, postanowiono tę czynność powierzyć dwom ludziom. Jeden, w charakterze „opiekuna zapisu," zamieszkały w Warszawie, zawiadywać ma wszystkimi interesami administracyi centralnej, prowadzić jej rachunki i kasę, czuwać nad ogółem mienia i interesów, szczególnie zaś rozciągać nadzór nad majątkami ziemskimi i nieruchomościami warszawskiemi, oddanemi w dzierżawę, wreszcie nad stacyą doświadczalną i szkołą rolniczą. Drugi będzie admi-

nistratorem Orłowa i Sobieszyna, zamieszka w Orłowie, w którym zniesiono jednocześnie posadę rządcy. Na opiekuna zapisu zaproszono p. Jana Rostworowskiego, właściciela dóbr w gub. Lubelskiej, radcę dyrekcyi głównej Tow. kred. ziemsk. Na administratora Orłowa i Sobieszyna — p. Józefa Jasieńskiego, ziemianina z pow. Sandomierskiego. Obaj objęli już urzędowanie.

Szkoły. Ministeryum skarbu zezwoliło na otwarcie z początkiem przyszłego roku szkolnego kursów handlowych dla kobiet przy zakładzie naukowym Cecylii hr. Plater-Zyberkówny. Nauka dwuletnia, oprócz klasy przygotowawczej. Na kurs pierwszy przyjmowane będą kobiety, które skończyły gimnazyum lub pensyę prywatną sześcioklasową. Wykłady według programu szkoły handlowej p. Rontalera, tj. języki: francuski, niemiecki, angielski, matematyka, buchhalterya, korespondencya handlowa, fizyka, chemia, towaroznawstwo, geografia handlowa, prawo finansowe, ekonomia polityczna i prawo handlowe. Przy kursach otworzony będzie internat dla uczenic. Opłata roczna za naukę rs. 100, w internacie — 300.

— Do Instytutu gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa w Nowej Aleksandryi uczęszczało r. z. 255 studentów, pomiędzy nimi 177 prawosławnych, 56 katolików, 4 ormian gregoryańskich, 6 luteranów, 1 karaim i 1 żyd; pod względem stanu: 176 ze szlachty i synów ober-oficerów, 18 synów duchownych, 3 ze stanu kozackiego, 8 synów mieszczan dziedzicznych i osobistych, 10 synów kupców, 58 synów mieszczan, 14 włościan, 2 zagranicznych itd. Na pierwszym kursie ogólnym było 66 studentów, na drugim: w oddziale gospodarstwa wiejskiego 53, w oddziale leśnictwa 15; na trzecim: w oddziale gospodarstwa wiejskiego 54, w oddziale leśnictwa 15; na czwartym: w oddziale gospodarstwa 43, w oddziale leśnictwa 9. W r. z. ukończyło kurs 36 studentów ze stopniem agronoma lub leśnika. Na utrzymanie Instytutu w r. z. wpłynęło: ze skarbu państwa 162,091 rs. na wydatki etatowe i 77,582 rs. na pomoc naukową, z opłat wpisowych 11,728 rs., z majątków i dzierżaw 23,396 rs., z zapisu prof. Karpińskiego na zapomogi dla studentów 3,362 rs., z sum w rozporządzeniu kuratora okręgu naukowego warszawskiego itd., na stypendya i zapomogi dla studentów 6,946 rs., z innych źródeł, jak odczyty itd. na rzecz studentów 547 rs.

— Mieszkańcy Włocławka starają się o otwarcie szkoły średniej. Deputacya specyalna przedstawiła sprawę gubernatorowi warszawskiemu, który przyrzekł poparcie.

— Urząd starszych zgromadzenia kupców w Łodzi otrzymał zawiadomienie, że ministeryum skarbu wydało przychylne postanowienie w sprawie założenia w tem mieście szkoły handlowej na koszt kupców i przemysłowców miejscowych. Pomieszczenie na zakład wynajęto w trzypiętrowym domu Rozenstraucha przy ulicy Dzielnej.

Koleje i komunikacye. Pomiędzy Lublinem a Sławinkiem wkrótce powstanie komunikacya telefoniczna. Na przestrzeni pomiędzy Lublinem a Siedliskami przez Piaski rozpoczęto już przygotowania do przeprowadzenia drutów.

— Ministeryum komunikacyj wyda rozporządzenie, aby podróżnym przeznaczano w razie potrzeby miejsca do spania bez opłaty dodatkowej.

Kwestyonaryusz. Biuro zootechniczne przy komitecie naukowym ministeryum rolnictwa uprasza wszystkich właścicieli ziemskich, trudniących się hodowlą drobiu i zwierząt, o nadesłanie do ministeryum następujących wiadomości: 1) jakie zwierzęta domowe są hodowane; 2) jaki jest zakres hodowli; 3) po jakiej cenie zwierzęta hodowane nabyto, a po jakiej są sprzedawane; 4) gdzie się znajdują zakłady hodowli zwierząt, tj. w jakiej gubernii, powiecie i jaka jest najbliższa zakładu stacya kolejowa.

Konkurs. *Gazeta Cukrownicza* rozstrzygnęła konkurs na temat „Kontrola i klasyfikacya odcieków od wirówek." Nagrodę (rs. 200) przyznano p. Stefanowi Dobieckiemu, chemikowi cukrowni Chrzanówka. Uznano także inną pracę, przysłaną po terminie — poza konkursem, której autorami i wynalazcami są pp. Zygmunt Łubiński, dyrektor cukrowni Młodzieszyn i Ryszard Krajewski, mechanik tejże fabryki. Ich probierz-rozdzielacz uznano za wynalazek nowy i bardzo praktyczny. Daje się on łatwo zastosować do każdego systemu wirówek.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 11 Апрѣля 1897 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, ul. Mazowiecka, Nr. 8.